FORA CHANGE

A GDYBY TAK...

WYDANIE SPECJALNE W JĘZYKU POLSKIM

ŹRÓDŁA WOLNOŚCI

Spis treści

Okładka: fot. Hans Oosenbach

4-7 ROZWIĄZYWANIE KONFLIKTÓW
Spośród 36 prowadzonych w ostatnich latach wojen 32 to konflikty wewnętrzne, poza zasięgiem ONZ i dyplomacji konwencjonalnej. Richard Ruffin z Waszyngtonu zauważa nowe zainteresowanie ekspertów możliwościami zwykłych obywateli.

8 W mieście zwanym Fulda
Kristin Weber-Fahr była zaskoczona tym, co się stało, gdy niemieckie miasto Fulda zaprosiło wszystkich swoich dawnych żydowskich obywateli.

9 Jestem zadowolona, że przebaczyłam.
Betty Bailey w obliczu przemocy domowej.

10 Tam gdzie uczucia to fakty
Jedność to więcej niż podobne myślenie. Do tego wniosku doszedł Peter Hannon w Irlandii Północnej.

11 W krzyżowym ogniu zamieszek

12-15 ŻYCIE RODZINNE
Dla Johna i Nady Bond ogród różany mógł się zmienić w dżunglę. Wraz z innymi Australijczykami opisują, jak uczą się żyć w małżeństwie.

16 Dziennikarz z zasadami
Cejloński dziennikarz Vijitha Yapa o cenie wolności prasy.

17 Sam przeciw korupcji

18-19 ALKOHOLIZM
Michael Brown zadaje pytanie, czy doświadczenie Alkoholików Anonimowych jest istotne dla dzisiejszej epidemii narkotyków.

20 'Nazywam się John. Jestem alkoholikiem...'

21 Pielęgniarka z Bejrutu
Libańska pielęgniarka próbuje pogodzić się z cierpieniem.

22 Głasnost' po szwedzku

23 ROZWÓJ GOSPODARCZY
Jacy ludzie czynią dobrze?

24 Przez Himalaje nienawiści

A gdyby tak...
ISSN 0959-311 X

Dodatkowe egzemplarze specjalnego wydania **For A Change** w języku polskim można zamówić w naszym biurze wysyłkowym. Zamówienia prosimy kierować na adres:

For A Change Subscription/Sales Office, Tirley Garth, Tarporley, Chesire, CW6 OLZ, UK
tel. 0829 732301

List

Drogi czytelniku,

Niniejszy zeszyt, który zatytułowaliśmy **A gdyby tak,** składa się z artykułów opublikowanych w angielskojęzycznym miesięczniku **For a Change** wydawanym przez Dozbrojenie Moralne w Wielkiej Brytanii. Sfinansowany on został dzięki darom uzyskanym od różnych osób, które łączy przekonanie, iż jest to jeden ze sposobów okazania poparcia ludziom mówiącym po polsku.

Nazwa 'Dozbrojenie Moralne' wywodzi się od wezwania do 'dozbrojenia duchowego i moralnego', które sformułował w 1938 roku teolog amerykański Frank Buchman. Było to w czasie, kiedy świat szykował się do wojny. Buchman przemawiał w ubogich dzielnicach Londynu, gdzie wśród robotników dała się obserwować odnowa moralna i duchowa. Buchman nabrał przekonania, że pobrane tam lekcje 'były szansą zwykłego człowieka, by mógł on przebudować świat'.

Doświadczenie Franka Buchmana dobrze jest udokumentowane w biografii pióra Gartha Leana, pt. **Frank Buchman: a life** (1988 Fount, Wielka Brytania). Wystarczy tu przytoczyć fragment recenzji napisanej przez Klausa Bockmuehla, profesora teologii i etyki Regent College w Vancouver (Kanada):

'Autor konsekwentnie wraca raz po raz do zainteresowania Buchmana moralną i duchową przemianą w życiu jednostek. Reperkusje (takiej przemiany) szły często daleko. Czytamy na przykład sprawozdanie o walce Danii z bezrobociem, jednolitym stanowisku kościołów Norwegii wobec narodowego socjalizmu, zachęcających pierwocinach uczestnictwa robotników w zarządzaniu przemysłem Niemiec Zachodnich. Wśród innych przykładów znajdujemy pokojowe załagodzenie destrukcyjnych konfliktów pracowniczych w Wielkiej Brytanii, Francji i Ameryce Północnej, polityczne akty pojednania w Maroku oraz pobudzenie nadziei, że te same zasady mogą jeszcze raz okazać się owocne w podobnych problemach współczesnych.

'Dalsza rzadko osiągana synteza to zachowana w programie Buchmana równowaga między ogólną, obiektywną miarą 'czterech absolutnych norm moralnych' (uczciwości, czystości, bezinteresowności i miłości) a kierowaniem się Duchem Św., co, jak sądził Buchman, możliwe jest dla jednostek w ich konkretnych sytuacjach.

'Ostanią syntezą jest dokonane przez Buchmana połączenie indywidualnego prawa do kierowania się Bogiem ze świetną realizacją zasady pracy zespołowej. Stoimy tu być może wobec jednego z najgłębszych problemów natury ludzkiej, który pojawia się zarówno w kolektywizmie jak i w wybujałym indywidualizmie. Jednomyślność i osobiste spełnienie są rzadkimi darami boskimi.'

Nade wszystko doświadczenie Dozbrojenia Moralnego jest doświadczeniem poszczególnych ludzi. Niektórych z nich spotkacie na tych stronach i, mamy nadzieję, sami dostrzeżecie to, co filozof francuski Gabriel Marcel nazwał 'powiązaniem między tym, co intymne, a tym, co globalne'. Nie wszystkie opisane tu historie wiążą się z pracą rozpoczętą przez Buchmana, wszystkie jednak odzwierciedlają duch Dozbrojenia Moralnego. Jeśli zdarzy się wam pojechać do Szwajcarii, to zobaczycie, jak pracuje międzynarodowa wspólnota w wiosce Caux położonej na zboczu powyżej miasta Montreux. Znajduje się tam światowe centrum Dozbrojenia Moralnego.

Historia centrum w Caux nie daje się oddzielić od historii Europy. Zbudowane jako hotel dla arystokracji europejskiej w pierwszej połowie dwudziestego wieku, zbankrutowało podczas recesji w latach trzydziestych, popadając w ruinę. Podczas drugiej wojny światowej przebywali w nim uchodźcy. W 1946 roku grupa rodzin szwajcarskich, którym znana była praca Buchmana, zdecydowała się wykupić dawny hotel, by przekształcić go w centrum duchowej odbudowy Europy. W sumie około sześćdziesięciu rodzin przekazało na ten cel pieniądze i kosztowności. Szwajcaria uniknęła cierpień wojennych, rozumowano, było więc czymś właściwym, by teraz dała coś z siebie.

Wśród delegacji, które przybywały do Caux w owych wczesnych latach, była pierwsza grupa Niemców, która po wojnie wyjechała zagranicę. Wielu z nich brało udział w ruchu oporu i samemu ucierpiało. Typową ich przedstawicielką była Clarita von Trott, wdowa po Adamie von Trott, którego rozstrzelano za udział w spisku antyhitlerowskim. Spotkawszy się z Ireną Laure, francuskim politykiem socjalistycznym, która wiele przeszła jako członek francuskiego ruchu oporu, natrafiła na wściekłą nienawiść kogoś, kto chciał, by Niemcy zniknęły z map światowych.

od redakcji

Zamiast się jednak bronić, von Trott przeprosiła Laure, mówiąc: 'Zdaję sobie sprawę, że nie dosyć sprzeciwialiśmy się złu, że nie sprzeciwiliśmy się w porę. Z tego powodu przeszliście potworne cierpienia. Wybacz nam proszę.' Miało to skutek rozbrajający. Po strasznej walce ze swoją nienawiścią Laure uwolniła się od niej a potem przez wiele lat jeździła po całych Niemczech, by prosić o przebaczenie Niemców za swoją nienawiść.

Skutek jej akcji był nieoczekiwany. Peter Petersen, młody Niemiec, który był w Caux, gdy Laure publicznie przepraszała Niemców, próbował uniknąć dokuczliwego poczucia winy za swoją współpracę z nazizmem. Powiedział potem: 'Byłem bardzo zmieszany. Przez kilka nocy zupełnie nie mogłem spać. Cała moja przeszłość wzburzyła się przeciw odwadze kobiety. Wiedzieliśmy jednak, ja i moi przyjaciele, że pokazała nam jedyną drogę, jaka pozostawała Niemcom, jeśli chcieliśmy się przyłączyć do odbudowy Europy.' Uznał swoją winę i pokajał się.

W Caux zachęca się każdego, by na swoje życie spojrzał w świetle absolutnych norm moralnych, nie zaś szukał winy w innych. W tym duchu uczciwości miały miejsce akty pojednania, które stały się istotne dla utworzenia Wspólnoty Europejskiej. Do Caux przybył Konrad Adenauer, który potem został kanclerzem Republiki Federalnej Niemiec. Gościł też tam Robert Schuman, francuski minister spraw zagranicznych i autor planu Schumana, który związał ze sobą francuską i niemiecką produkcję węgla i stali. W przedmowie do tomu przemówień Buchmana Schuman napisał: 'To nie jest kwestia zmiany polityki, jest to kwestia zmiany ludzi. Demokrację i jej jej swobody polityczne można ocalić jedynie jakością ludzi, którzy przemawiają w jej imieniu.'

Wśród wielu przywódców związkowych, którzy w tych wczesnych latach przyjeżdżali do Caux, był dr Hans Bockler, założyciel i pierwszy przewodniczący zachodnioniemieckiego Kongresu Związków Zawodowych, Paul Finet, prezydent belgijskiej Federacji Pracy i pierwszy Prezydent Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych, a także Ivert Kuypers, prezydent Holenderskiej Federacji Pracy.

Podobnie grupa Japończyków, która przybyła do Caux w 1949 roku. Wielu uczestników tej grupy starało się odbudować więzi z resztą świata poprzez szczere i pokorne przeprosiny. W liście do konferencji w Caux w 1986 roku premier japoński Yasuhiro Nakasone przypomniał własną wizytę w Caux i powiedział: 'Dozbrojenie Moralne miało istotny udział w przywróceniu Japonii do rodziny narodów, w następnej zaś dekadzie MRA odegrało istotną rolę w odbudowie Japonii, pomogło ludziom w uznaniu tego, iż potrzebne są jasne zasady moralne jako podstawa skutecznej demokracji'.

Czterdzieści lat później konferencje w Caux nadal zajmują się palącymi zagadnieniami dnia codziennego. W ostatnich latach sesje 'Przemiany w miastach' przyciągnęły ludzi ze slumsów w Rio de Janeiro i zamożnej Osaki, z Berlina i Dehli. Dążono do wzajemnych konsultacji. Przedstawiano wiele ciekawych inicjatyw dotyczących walki z bezrobociem, narkotykami i znieczulicą wśród mniejszości rasowych.

Grupy przybyłe z rejonu Morza Śródziemnego, w tym delegaci ze wszystkich czterech społeczności religijnych Libanu, spotykali się z członkami Parlamentu Europejskiego, by zyskać szersze spojrzenie na swoje problemy.

Czołowi przemysłowcy z całego świata, w tym Frederik Philips, podówczas prezes Philips Electrical Industries, Olivier Giscard d'Estaing, wiceprzewodniczący INSEAD,[1] (Fontainebleau we Francji) oraz Ryuzaburo Kaku, prezes japońskiego Canona, zastanawiali się nad sposobami uniknięcia druzgocących wojen handlowych. W duchu Caux buduje się wzajemne zaufanie, przemysłowcy zaś swoją uwagę coraz bardziej zwracają na rozwój Trzeciego Świata.

Inne tematy obejmowały życie rodzinne, rolę kobiet w świecie, były też konferencje organizowane przez Afrykańczyków, Azjatów i młodzież. Niezbędne prace dotyczące prowadzenia domu to dzieło samych uczestników konferencji. We wspólnym gotowaniu, przygotowywaniu pokojów czy układaniu kwiatów rodzi się wspólnota.

Franz Koenig, rzymsko-katolicki kardynał Wiednia, w ostatnich latach często gościł w Caux. Przemawiając tam w 1986 roku powiedział:

'Dozbrojenia Moralnego nigdy nie interesowało, kto ma rację, lecz, co jest słuszne. Od końca Drugiej Wojny Światowej Caux było miejscem, gdzie spotykali się ludzie różnych ras, przekonań politycznych i klas społecznych. Przyjeżdżali często z siedlisk konfliktów, które zagrażały pokojowi całego świata. Tutaj zrodziła się idea pojednania i pokoju w świecie, w którym utrwalały się granice i wzrastały napięcia. Raz po raz jednak następował przełom. Myślę, że odgrywa tu rolę Duch Św. Obecnie ma miejsce wiele konfliktów, w których większą szansę ma prosty, nieoficjalny dialog niż oficjalne mediacje.'

W wielu dzisiejszych sytuacjach kryzysowych brakuje perspektywy nadziei. Nadzieja taka wyrastać może jedynie z atmosfery wiary, to z kolei możliwe jest jedynie poprzez wzajemny szacunek i gotowość do prośby o przebaczenie i samego aktu przebaczenia. W rodzinach istnieje prosty, pokój niosący zwrot: 'jest mi przykro, przebaczcie mi proszę'. Nie jest to upokorzenie, lecz raczej coś, co wnosi więcej szacunku. Podobna postawa może też otworzyć więcej drzwi w sytuacji konfliktu rasowego czy też napięć polityczno-ekonomicznych. Nie tylko niesprawiedliwy, ale i jego ofiara może zrobić pierwszy krok.

Redakcji **For a Change** bardzo by zależało na zaznajomieniu się z doświadczeniami naszych polskich czytelników. Buchman zawsze wierzył, że ci, którzy najwięcej wycierpieli, mają najwięcej do ofiarowania. Może chcielibyście się z nami podzielić historiami, które nadawałyby się do zamieszczenia w **For a Change**. Tak długo dzielił nas mur kłamstw! Starajmy się pracować razem, by tego muru nigdy już nie można było odbudować.

REDAKCJA

Piszcie do nas na adres:

The Editors,
For A Change Magazine
12 Palace Street,
London SW1E 6HF
Great Britain

(1) INSEAD uchodzi za najbardziej renomowaną szkołę zarządzania w Europie Zachodniej.

ROZWIĄZYWANIE KONFLIKTÓW

Czego nam potrzeba:

Dyplomacja obywatelska

Richard Ruffin

'Pakiet południowotyrolski zapięty na ostatni guzik'. Dla poinformowanych ten tytuł z **Neue Zurcher Zeitung** (14 maja 1988) oznaczał zakończenie zadawnionego konfliktu między niemieckojęzyczną i włoskojęzyczną ludnością południowego Tyrolu (Alto Adige). Obszar ten scedowano na rzecz Włoch po pierwszej wojnie światowej. Dwie trzecie ludności regionu mówi po niemiecku, reszta po włosku.

Od czasu debaty w ONZ w 1961 roku, kiedy to Austria wzięła na siebie zadanie zagwarantowania praw mniejszości niemieckiej, Rzym i Wiedeń prowadziły negocjacje o południowy Tyrol. Majowa decyzja włoskiego parlamentu ratyfikująca porozumienie między Rzymem a rządem prowincjonalnym w Bolzano, stolicy południowego Tyrolu, gwarantuje autonomię prowincji, kończąc tym samym spór między Wiedniem a Rzymem.

Dwadzieścia lat temu konflikt miał swoją kulminację. W tym czasie ziemią tą wstrząsały bomby a gmachy publiczne chronili spadochroniarze. Przeważał nastrój nienawiści i beznadziei. Wówczas jednak, krok po kroku, w dyskusji uobecniał się nowy duch. Pogodzono przeciwników politycznych. Choć pozostało wiele punktów spornych - terroryzm ekstremistów utrzymuje się po dzień dzisiejszy - trucizna, jak zauważył pewien polityk austriacki, wyparowała z negocjacji.

To, co stało się dwadzieścia lat temu, było godnym uwagi przykładem dyplomacji obywatelskiej. Reporter telewizji holenderskiej, Fred Ladenius, autor reportażu o problemie w Bolzano, stwierdził, że obie strony są zatwardziałe i pełne wyrzutów, zarazem jednak po cichu dążą do zakończenia aktów gwałtu. Poruszony zobaczonym przez siebie cierpieniem, Ladenius zdecydował się pomóc na miarę swoich możliwości.

Wiadomo mu było o centrum konferencyjnym w Caux (Szwajcaria), gdzie zdołano rozwiązać problemy innych mniejszości. We współpracy z podobnie myślącymi ludźmi z Austrii i Szwajcarii przekonał polityków z obu społeczności, by się tam wybrali. W Caux, pięknym budynku powyżej Jeziora Lemańskiego prowadzonym przez Dozbrojenie Moralne (MRA), zaczęli oni postrzegać swój konflikt w perspektywie potrzeb światowych. Członek parlamentu włoskiego, p.Guido

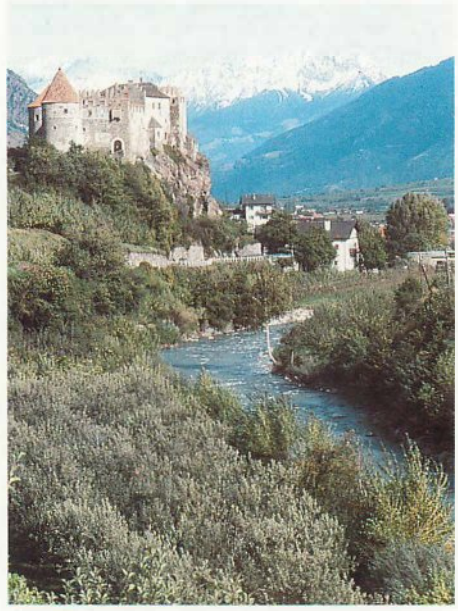

B Harris / Impact photos

Południowy Tyrol

Bernardi, oświadczył: 'Poprzez przyjazd do Caux my Włosi zdaliśmy sobie sprawę, iż musimy uznać specyficznie niemiecki charakter większości w południowym Tyrolu.' Spotykali ludzi, którzy doświadczyli potęgi przebaczania. Niektórzy spośród nas zdecydowali się przyjąć nową postawę.

Interwencje, które doprowadziły do spotkań w Caux to przykłady bardzo ważnej postawy wobec konfliktu, zwracającego na siebie coraz większą uwagę. W Waszyngtonie skądinąd nazywa się to teraz 'dyplomacją drugiego toru' dla odróżnienia od zwykłej 'pierwszotorowej' dyplomacji międzyrządowej. Pojęcie to po raz pierwszy opisano w zimowym wydaniu kwartalnika amerykańskiego **Foreign Policy** z lat 1981-2. Autorzy, William D. Davidson, psychiatra, i Joseph V. Montville, dyrektor badań z prowadzonego przez Departament Stanu USA Centrum Studiów nad Polityką Zagraniczną, pisali: 'Dyplomacja drugiego toru to nieoficjalna, pozbawiona struktury wymiana. Jest zawsze otwarta, często altruistyczna i ... strategicznie optymistyczna, oparta na analizie "najlepszego przypadku". Jej ukrytym założeniem jest to, że konflikt rzeczywisty lub potencjalny można rozwiązać lub złagodzić odwołując się do powszechnie u ludzi spotykanych zdolności reagowania na dobrą wolę i rozsądek.'

W pewnym sensie dyplomacja drugiego toru rekompensuje ograniczenia, które na dyplomatów toru pierwszego nakłada fakt, że ich działalność ma charakter publiczny, że reprezentują oficjalny punkt widzenia i potrzebują, by postrzegano ich jako mocnych, nieustraszonych, twardych wobec innych narodów.

Weźmy na przykład spór o Falklandy/ Malwiny. Po wojnie 1982 roku stanowiska rządu argentyńskiego i brytyjskiego były ze sobą nie do pogodzenia, zwłaszcza w kwestii suwerenności. Z powodu tego impasu nie udawały się dalsze próby obu rządów, by nawiązać dialog. W 1985 roku, w Bernie, dyskusje się załamały, chociaż delegacje znajdowały się w sąsiednich pokojach a Szajcarzy pełnili rolę pośredników.

W tym samym jednak roku grupa parlamentarzystów, emerytowanych dyplomatów, biznesmenów, akademików i księży wybrała się na konferencję Rady Południowoatlantyckiej w Londynie. Celem jej było przypominanie zagadnienia Falklandów społeczeństwu brytyjskiemu i ustanowienie punktu styczności z podobnie myślącymi Argentyńczykami. W Argentynie podobni ludzie ze zbliżonymi celami uformowali Centro de Estudios del Atlantico del Sur. Oba ugrupowania pozostają z sobą w kontakcie i zachęcają swoje rządy do posunięć politycznych prowadzących do porozumienia. Dyskutowały na przykład nad sposobami ułatwienia wizyt u grobów poległych po obu stronach.

W takich przypadkach bezinteresowne jednostki prywatne działały z wyczuciem, nie ponaglając łagodzenia konfliktu. W innych wypadkach rządy uznawały, że nastąpił impas, i chętnie widziały pomoc trzecich stron. Tak było w wypadku karaibskiego narodu wyspiarskiego z Republiki Dominikany w 1965 roku.

Rex / Features

Pogrzeb w Enniskillen, Irlandia Płd.

W wyniku buntu młodych oficerów armii przeciw wojskowej juncie rządzącej krajem walki przeniosły się na ulice. Olbrzymie demonstracje na poparcie powstania przywiodły Republikę Dominikany na skraj chaosu. Zginęło 700 ludzi, głównie cywilów, nim prezydent Lyndon Johnson wysłał amerykańską piechotę morską, by rozdzielić walczące strony.

Po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat amerykańskie oddziały bojowe wprowadzono bezpośrednio do Ameryki Łacińskiej. Potępienie ze stolic południowoamerykańskich było natychmiastowe i zdecydowane. Do krytyki przyłączyli się i inni, w tym duża część prasy amerykańskiej. Prezydent Johnson pozostał twardy, mówił o potrzebie porządku publicznego i obecności silnych elementów komunistycznych wśród partyzantów.

Interwencja amerykańska powstrzymała walczących i przywróciła coś w rodzaju porządku. Jej efektem ubocznym było wciągnięcie różniących się między sobą elementów do czegoś, co coraz bardziej stawało się powstaniem ludowym. W szczególności za sprawą opowiedzieli się prawie wszyscy przywódcy młodzieżowi i oni wkrótce stali się dominującą siłą powstania.

Wyczerpujące wysiłki misji USA nie rozwiązały kryzysu, w dużym stopniu dlatego, iż przedstawiciele amerykańscy, wśród których było wielu sympatyków reform popieranych przez powstańców, nagle znaleźli się w izolacji, ich więzi z przywódcami młodzieżowymi uległy zerwaniu.

W tym momencie Departament Stanu, w niezwykłym akcie prośby o pomoc, zwrócił się do Bryanta Wedge'a, osoby prywatnej i uczonego, dobrze znanego na niwie dyplomacji publicznej. Jako swój warunek Wedge postawił całkowitą niezależność i przystąpił do ustanawiania kanałów porozumienia między przedstawicielami USA a radykalną młodzieżą.

Wedge zamieszkał w pobliżu linii zawieszenia broni i z niejakim drżeniem serca mieszał się z rozgniewanymi tłumami w 'Strefie Konstytucjonalistycznej' kontrolowanej przez powstańców. Po wielu godzinach podeszli doń trzej mężczyźni pytając, kim jest. Jego odpowiedź rozpoczęła dialog.

Załamują się stereotypy

W ciągu trzech tygodni Wedge nawiązał bliski kontakt osobisty z grupą ponad trzydziestu osób oraz rozpoczął głębszą wymianę myśli z 18 grupami. Szczerze przyznawał się do swoich osobistych poglądów, konsekwentnie jednak odmawiał zarówno krytyki jak i usprawiedliwiania amerykańskich posunięć politycznych. Powoli, wsłuchując się cierpliwie, pozyskał zaufanie. Przywódcy zaczęli swobodnie mówić o tym, co leżało im na sercu.

Po równie wielostronnych rozmowach z przedstawicielami amerykańskimi,

Wedge stopniowo ustalił obszary wzajemnego zainteresowania. Koncentrowały się one na prestiżowym Autonomicznym Uniwersytecie Santo Domingo, wówczas już w rękach rektora i administracji sprzyjającej powstaniu. Zakłócony został tok studiów. W ciągu miesiąca Wedge wystąpił z licznymi inicjatywami, które sprowadziły na Uniwersytet Autonomiczny akademików i ekspertów technicznych ze Stanów Zjednoczonych i z innych krajów. W trakcie tych kontaktów niektóre spośród stereotypów, jakie jedna strona miała o drugiej zaczęły się załamywać.

W międzyczasie rysować się zaczął kruchy pokój. Oddziały amerykańskie się wycofały i podjęto przygotowania do wolnych wyborów pod międzynarodowym nadzorem. W tym stadium Wedge zaproponował rektorowi uniwersytetu, by wydał przyjęcie w podziękowaniu osobom, które pomogły uniwersytetowi stanąć znowu na nogi. Zaproszono dwudziestu przedstawicieli ambasady. Rozmowy w małych grupkach ciągnęły się godzinami. Pięć dni później Wedge wydał podobne przyjęcie z odmienną listą gości. Postawy zmieniły się po obu stronach i ambasada wkrótce rozpoczęła wielostronne rozmowy z radykalnymi przywódcami studenckimi. Ułatwiło to przejście do bardziej stabilnego i demokratycznego rządu. Wedge się wycofał, jednak rozmowy między obu grupami trwały nadal.

Wachlarz działań dyplomacji drugiego toru jest oczywiście bardzo duży. Na jednym biegunie znajdują się wymiana akademicka i kulturalna, związki między grupami obywateli w różnych krajach, itp. Na drugim biegunie mamy bardziej podbudowane dialogi na poziomie poszczególnych obywateli.

Literatura najnowsza skupia się na psychologicznych uwarunkowaniach konfliktu. Obejmują one akumulację pretensji stron konfliktu oraz tendencję do tego, by jedna strona czuła się ofiarą drugiej. W końcu każda ze stron odczłowiecza pozostałą sprawiając, że z psychologicznego punktu widzenia dużo łatwiej popełnić gwałt. By przerwać ten cykl, trzeba przedstawiać rozwiązania wychodzące z założenia, że pretensje są czymś rzeczywistym, rozwiązania uwzględniające odpowiedzialność oraz, zdaniem Vamika Volkana, być może najważniejszego w tej dziedzinie psychiatry, żal po poniesionych stratach.

Co wyjaśnia ów wzrost zainteresowania psychologią konfliktu i dyplomacją toru drugiego? Przede wszystkim wiele konfliktów niedostępnych jest dyplomacji tradycyjnej. Tylko w 1987 roku miało miejsce 36 bieżących konfliktów, spośród których tylko cztery miały charakter otwartej wojny między państwami. Pozostałe trzydzieści dwa miały charakter wewnętrzny, choć z międzynarodowym udziałem. Nawet ONZ, tak użyteczna w przypadku wojny iracko-irańskiej i w innych międzynarodowych konfliktach nie może, na mocy swojej karty, pośredniczyć w konfliktach wewnętrznych, chyba że na prośbę rządu u władzy. Dyplomacja drugiego toru ma więc większy zasięg.

Innym czynnikiem, który przydał znaczenia poszukiwaniu nowych podejść, jest rewolucja w obrębie komunikacji. Przenosząc konflikty do naszych pokojów z telewizorem, uczuliła ludzi na namiętne etniczne, plemienne, religijne i ideologiczne dysputy, które nas trapią. Ponadto, telewizyjne powtórki gwałtownych konfrontacji wzbudzają w nas i intensyfikują uczucia, otwierają stare rany i obniżają próg oporu przed użyciem przemocy. Niektórzy przywódcy polityczni znajdują też okazję przyciągnięcia uwagi mediów zachowaniami skrajnymi albo nieodpartą, ognistą retoryką. Znajdowanie rozwiązań staje się coraz bardziej trudne.

Trzecim czynnikiem jest zdumiewająca łatwość, z jaką ludzie interesu, przedstawiciele rządu i organizacji prywatnych poruszają się obecnie po świecie. Równie łatwo podróżują fundusze, materiały i idee ułatwiające konfrontację. Przepływ ludzi zwiększa wzajemne zrozumienie i powiększa pulę tych, którzy chcieliby odegrać konstruktywną, zbliżającą ludzi rolę. Jednakże wymiar międzynarodowy komplikuje konflikty miejscowe i rodzi potrzebę swego rodzaju dyskretnych, nieformalnych, wielowymiarowych i często nie powiązanych ze sobą kontaktów charakteryzujących inicjatywy toru drugiego.

Być może najmniej zrozumiany wkład dyplomacji drugiego toru - i najwięcej obiecujący - to ten, który wiąże się z intymnymi przyjaźniami, jakie potrafią nawiązać ze sobą jednostki prywatne. Mogą one doprowadzić do bardziej uczciwego dialogu niż ten, na który na ogół pozwolić mogą sobie dyplomaci, obciążeni tajemnicą państwową i instrukcjami. Prawdziwi przyjaciele bywają zdolni do przeciwstawienia się ludziom tkwiącym w nieprzyjemnych realiach, które wolą ignorować, czasem też mogą spowodować istotne zmiany w postawach i motywach kluczowych postaci.

Zdarzyło się tak w Maroku u zarania niepodległości. Pierre Chavanne, osadnik francuski dopiero co doświadczył

Wskazówki dla dyplomatów obywatelskich

Ludzie kierujący się dobrymi intencjami, którzy angażują się w dyplomację toru drugiego narażeni są na liczne niebezpieczeństwa. Jedna ze stron może posłużyć się nimi w sporze dla własnych celów, takich jak opóźnianie decyzji, odwracanie uwagi, oszustwo. Mogą oni niechcący narazić kogoś na ryzyko przez zbytnią wylewność i nadmiar dobrych chęci. Mogą też spowodować zamieszanie sprawiając wrażenie, iż reprezentują rządy lub jakąś inną stronę w stopniu, który nie odpowiada rzeczywistości, albo też przypisując sobie więcej siły i władzy niż w istocie mają, lub obiecując więcej niż mogą dotrzymać.

Próbując uniknąć tych i innych trudności i pomóc w przygotowaniu potencjalnych dyplomatów obywatelskich, John W. Macdonald Jr., były wieloletni ambasador amerykański, opracował wskazówki dla nowicjuszy w tej dziedzinie. Niektóre cechy zaobserwowane u mistrzów streszczone są poniżej.

1. Znane im jest to, czego się nauczono w dziedzinie dyplomacji toru drugiego ; mają też doświadczenie w komunikacji międzykulturowej.
2. Są obeznani z konfliktem, w który się angażują i innymi wysiłkami dążącymi do ich rozwiązania. Gdzie tylko mogą, współpracują z innymi i szukają instytucjonalnego poparcia dla swoich wysiłków.
3. Znają siebie samych i świadomie dążą do rozwijania cnót współczucia, cierpliwości, pokory, szczerości i zdolności słuchania.
4. Opierają się pokusie oferowania rozwiązań, zachęcają raczej zaangażowane strony do przyjęcia pełnej odpowiedzialności.
5. To, co robią, spowodowane jest chęcią rozwiązania problemu i znalezienia odpowiedzi. Nie szukają niczego dla siebie ani swoich grup.
6. Zachowują dyskrecję, opierając się wszelkim pokusom ujawnienia swoich poczynań prasie czy opinii publicznej.
7. Zachowują ścisły kontakt z tymi stronami sporu, które podejmują odważne kroki mogące narazić je na krytykę a nawet represje.
8. Rozwijają zdolność słuchania nie tylko wszystkich stron sporu lecz również własnych nieoczekiwanych intuicji, które mogą im dopomóc w zastosowaniu niezbędnego środka.

Pasza Marakeszu, leżąc, prosi o przebaczenie Sułtana Mohammeda Ben Youssefa w domu sułtana w pobliżu Paryża (8 listopada, 1955)

głębokiej zmiany w swojej postawie wobec rodzimych Marokańczyków dzięki swojemu udziałowi w konferencji w Caux. Przyszła mu do głowy jedna niezbyt godna uwagi myśl, by podziękować pewnemu marokańskiemu rolnikowi, który mu pomógł poradzić sobie z plagą szarańczy. Nie wiedział o tym, że rolnik ów, Ahmed Guessos, był przywódcą walki niepodległościowej. Guessos doszedł do wniosku, że może zaufać Chavannowi i zgodził się wybrać z nim do Caux. Na miejscu Guessos ostro zareagował na publiczne wspomnienie człowieka, którego nienawidził najbardziej, paszy Marakeszu, który popierał Francuzów. Jako człowiek głębokiej wiary muzułmańskiej stanął jednak przed myślą, 'Jesteś tak bliski Boga jak człowiek, od którego najwięcej cię dzieli.' Był to punkt zwrotny.

Po powrocie do Maroka Guessos wybrał się do paszy z kilkoma kolegami-nacjonalistami i przeprosił za swoją nienawiść. Rozmawiali godzinami. Później tego dnia pasza wydał oświadczenie dla prasy, w którym przyznał, iż jego secesja od prawomocnego suwerena, przebywającego na wygnaniu sułtana Maroka, była czymś niewłaściwym i że będzie odtąd dążył do uzyskania niepodległości. Pojechał do Francji i upokorzył się przed sułtanem, który mu przebaczył.

Przełom w Maroku i wspomniany wcześniej w południowym Tyrolu był wynikiem pełnej wyczucia pracy u podstaw. Faza ta poprzedzała negocjacje. W obu przypadkach wysiłki kierowano nie tyle na budowę mostów między adwersarzami czy na generowanie nowych technik, co raczej na zmianę postaw wyższości, nienawiści i podejrzliwości u jednostek. Gdy te postawy ulegały zmianie, wówczas ludzie, których one dotyczyły, podejmowali nieoczekiwane i odważne działania tworzące nowy czynnik prowadzący w końcu do rozwiązania konfliktów.

Harold Saunders, były amerykański zastępca sekretarza stanu blisko zaangażowany w porozumienie z Camp David, zauważa, 'Tor drugi udaje się najlepiej, gdy ustala się warunki poprzedzające negocjacje.' Pewien wkład wnoszą nieraz w tym stadium grupy religijne, czasami pomagające jednostkom wybaczyć.

W bardzo interesujący sposób znaczenie dyplomacji toru drugiego uznała telewizja włoska (RAI) w programie nadanym dwukrotnie w marcu 1988. Autorzy programu odszukali pięciu polityków z południowego Tyrolu, którzy dwadzieścia lat wcześniej uczestniczyli w rozmowach w Caux.

Jednym z tych ludzi był Karl Mitterdorfer, do niedawna członek senatu włoskiego a także Rady Europejskiej. Powiedział o tych spotkaniach, 'Dużo swobodniej potrafiliśmy wyrazić nasze punkty widzenia, wskutek czego mogliśmy przedstawić zarys rozwiązania.'

Ze strony włoskiej Armando Bertorelle mówił z wdzięcznością o sposobie, w jaki 'Dozbrojenie Moralne od dwudziestu lat przypominało nam o takich ideałach jak uczciwość, miłość bliźniego, braterstwo ponad językami i różnicami religijnymi'.

Autor programu zakończył wnioskiem, 'Tylko wówczas świat może być lepszy, jeśli zaczniemy od zmiany samych siebie.' Nie jest to zła wiadomość dla dyplomatów toru pierwszego czy drugiego; ani też dla tych, którzy w jakimkolwiek kraju pracują nad uczynieniem świata lepszym.

Erich Gutberlet

Dawni żydowscy mieszkańcy i ich rodziny w Fuldzie

W mieście Fuldą...

Kristin Weber-Fahr

Mała dziewczynka miała czarne, kręcone warkoczyki oraz żółtą gwiazdę Dawida na czerwonej sukience. Lat miała sześć czy siedem. Mijałyśmy się co ranka w drodze do szkoły. Nie poznałam jednak nawet jej imienia.

Kiedyś jedną ze swoich lalek próbowałam nazwać Ruth. Mama powiedziała, że lepiej jak się będzie nazywać Jutta, bo Ruth to imię żydowskie. Potem wyjaśniła mi znaczenie żółtej gwiazdy na czerwonej sukience dziewczynki. Od tej pory zaczęłam o niej myśleć jako o Ruth.

Fulda miała starą żydowską tradycję. Społeczność żydowska w przednazistowskich Niemczech wynosiła 9% w Fuldzie jednak było jej ponad 4%. Żydzi jako ludzie interesu i rzemieślnicy cieszyli się dużym szacunkiem.

Potem przyszedł terror hitlerowski. Nasi żydowscy współobywatele zaczęli stopniowo znikać. Początkowo stare żydowskie rodziny śmiały się z niebezpieczeństwa. Dopiero, gdy w 1938 roku spłonęła synagoga, zdały sobie sprawę z powagi sytuacji. 950 z 1500 fuldeńskich Żydów zdołało już wyemigrować. Potem nagle wyjechała następna grupa, a w tym samym czasie gestapo zaczęło deportować pozostałych. Trwało to do 5 września 1942 roku, kiedy to pozostałe ofiary zostały zabrane z 'żydowskich domów' na stację, a stamtąd w wagonach towarowych przez Kassel do Teresina - na śmierć.

Dwa lata temu burmistrz Fuldy, dr Wolfgang Hamberger, rozpoczął 'Akcję Szalom' mającą zbliżyć do siebie żydowskich i nie-żydowskich mieszkańców miasta. Rada miejska postanowiła wyremontować stary budynek żydowskiej szkoły i przekazać go społeczności żydowskiej. Na otwarcie zaproszono wsystkich dawnych żydowskich mieszkańców Fuldy, których zdołano odszukać.

Oczekiwano 50 do 60 gości. W końcu jednak dr Hamberger powitał na frankfurckim lotnisku 360 gości. Była to największa grupa byłych obywateli pochodzenia żydowskiego zaproszonych do niemieckiego miasta po wojnie. Objazd miasta z przewodnikiem, nabożeństwo na cmentarzu żydowskim i przekazanie żydowskiego centrum kulturalnego dostarczyły wiele okazji do osobistych spotkań.

Erich Gutberlet

Burmistrz Fuldy, p. Hamberger (po lewej) z dwoma żydowskimi gośćmi

'Nigdy więcej!' powiedział stary rabin, dr Blumenthal. 'Nigdy więcej tych niewyobrażalnych tragedii, które miały tu miejsce. Pozwólcie, że podziękuję wam za podarunek - okazję, jeśli da Bóg, zbudowania pomostu do przyszłości.'

'Ktokolwiek zaciera przeszłe wspomnienia, powiela kłamstwo,' zareplikował dr Hamberger. 'Nosimy ze sobą winę, czujemy wstyd i prosimy o przebaczenie. Po Dachau, Bergen-Belsen, Buchenwaldzie, Teresinie i Yad Vaszem i wszystkim, co wyrządzono Żydom w imię Niemiec, Niemcy i Żydzi przez długi czas nie będą mogli się normalnie spotykać. My jednak musimy czynić wysiłki, by zbliżyć się wzajemnie.'

Przy stoliku z kawą, po mojej prawej stronie siedziała pewna dama z Londynu. Spojrzałam na jej twarz, oczy, czarne, kręcone włosy i zapytałam: gdzie mieszkała i ile miała lat, gdy wyjechała z Fuldy.

Rozmawiałyśmy po angielsku, ale niespodziewanie obie przerzuciłyśmy się na niemiecki. Powiedziałem jej o 'Ruth'. 'To ja,' odparła, 'ja zresztą nazywam się Ruth.'

Wydawało się, że zatrzymał się czas. Spojrzała na mnie bardzo uważnie. 'Myślę, że pamiętam. Zazwyczaj miałaś na sobie niebieską sukienkę i blond warkocze.'

Następnego dnia przyszła do nas na obiad, spotkała mojego męża i najmłodszego syna i opowiedziała o swoim synu, Tomku. Jeździłyśmy ulicami, którymi chodziłyśmy do szkoły i zatrzymałyśmy się na skrzyżowaniu. Ale jej myśli wydawały się biec gdzieś daleko.

Znałam dobrze ludzi, którzy mieszkali

zwanym

w jej domu rodzinnym. Zaprosili do siebie Ruth i chodziliśmy od pokoju do pokoju.

Nagle zatrzymała się w progu. 'Tutaj się bawiłam. Tu przy piecu kaflowym moja siostrzyczka mocno się oparzyła.' Cisza. Łzy w jej oczach. 'Oparzyła się,' wyszeptała smutno. 'Dlaczego musieliście to zrobić - spalić sześć milionów Żydów? Dlaczego tu wróciłam?'

Długo nikt nic nie mówił. Nagle jednak poczułam, że potrafię ująć w słowa to, co dojrzewało we mnie przez ostatnie dni, co ja mówię, przez całe lata. Cały smutek, gniew, wstyd, okropna wina wynikająca z okrucieństw dokonanych przez moich rodaków na narodzie, który dla mnie cały był teraz symbolizowany przez Ruth. 'Z głębi mego serca wyznaję mój smutek. Przebacz, proszę.' Spojrzała na mnie surowo - i nadal milczała.

Następnego dnia powiedziałyśmy sobie do widzenia i było to bardzo wzruszające. Pewien starzec machał swą kulą wsiadając do autobusu, wołając: 'Mamy nowych przyjaciół. Wracamy!'

Ruth była zajęta przy bagażach. Potem spojrzała na mnie. 'Wprawdzie nic się nie stało ani mnie ani mojej rodzinie pod nazistami,' powiedziała poważnym tonem, 'niemniej jednak nienawidziłam was wszystkich. Trudno mi powiedzieć, jak bardzo. Nie potrafiłam tego zrozumieć, co zrobiliście Żydom. Dzisiaj jednak - nie, wczoraj, wczoraj po południu - ta nienawiść zniknęła. Po raz piewszy. Myślę, że jednak dobrze, że przyjechałam do Fuldy.'

'Przyjedź jeszcze raz,' powiedziałam.

'Chciałabym. I przywiozę ze sobą Tomka.'

Pomachałyśmy sobie na pożegnanie, dopóki widać było jeszcze autobusy. Szłam przez pusty plac katedralny i po raz pierwszy zastanawiałam się, czy wiek cudów był naprawdę ograniczony do czasów biblijnych. Wydawało mi się, że przeżyłam właśnie taki cud.

Jestem zadowolona, że przebaczyłam.

Jako dziecku brakowało mi pewności, nie czułam się bowiem kochana. W szkole byłam dobra i dziwiło mnie, że nikt w domu nie okazywał temu zainteresowania, ani nie był z tego zadowolony. Moi rodzice faworyzowali młodszego brata. Dopiero gdy miałam lat dwadzieścia parę, obejrzałam swoje świadectwo urodzenia, odkrywając, że moi rodzice adoptowali mnie w czasie, gdy wydawało im się, iż nie mogą mieć mięcej dzieci.

Mój mąż Geoffrey i ja pobraliśmy się potajemnie, ponieważ jego matka tego nie aprobowała. W tym czasie myślałam, że miał duże szczęście poślubiając właśnie mnie. Choć czarujący i spontaniczny, był zepsuty i sądził, że mu pomogę w jego problemach. Z czasem jednak stwierdziłam, że jest bardzo niezrównoważony. Bywał niekiedy gwałtowny, tak że miewałam siniaki pod oczami. Kiedyś, w dzień matki, wyłamał mi kilka zębów. Był nader rozrzutny i w końcu zbankrutował. Zbyt wiele było jednak we mnie dumy, by powiedzieć cokolwiek mojej adoptowanej rodzinie, nie było też ucieczki.

Potem Goeff musiał pracować z dala od domu, ja zaś mieszkałam w wynajętym domu z pięciorgiem naszych dzieci. Kapało w każdym pokoju. Pewien pastor i jego żona stali się naszymi przyjaciółmi. Jego zaufanie podbiło moje serce. Spodziewali się czegoś po mnie, pomimo całego chaosu, jakim było moje życie. Zachęcali mnie, abym swoje bezpieczeństwo powierzyła Bogu, nie zaś ludziom. Ślubowałam Bogu i postanowiłam ślubów dotrzymać. Z tego czerpałam wielką siłę.

Trzy razy uciekałam, raz zabierając z sobą dzieci. Ale zawsze wracałam. Wcześniej zahukana, teraz postanowiłam ufać Bogu i nigdy już nie uciekać. Uznałam swoje własne zadufanie. Pewnego dnia na plaży poczułam, że Bóg mówi do mnie, 'Jeśli już nigdy nie potępisz Goeffa w swoim sercu, zobaczysz, że on zwróci się do mnie.' Sytuacja nie wydawała się poprawiać, ja jednak czułam się w niej odmiennie - bardziej zdolna jej sprostać. Wielu przyjaciół okazywało mi wyrazy zachęty. Kiedyś, po gwałtownym incydencie, jeden z nich powiedział mi, 'Betty, nie zabieraj swojej goryczy do domu, do dzieci.'

Kiedy Goeff był kompletnie załamany i przestał przysyłać mi pieniądze, psycholog małżeński poradził mi, żebym wniosła sprawę przeciw niemu do sądu. Wszystko zostało przygotowane, miałam jednak dziwne, choć silne poczucie, że nie powinnam. We wszystkich tego typu kryzysach szukałam jedności z dziećmi. Tak więc usiedliśmy razem i przez chwilę, w spokoju, prosiliśmy Boga, by pokazał nam jasno, co robić. Moja córka wyjaśniła chłopcom, o co w tym wszystkim chodziło, nasz najmłodszy zaś z wysiłkiem wypowiedział swoje myśli. 'Mama nie powinna prosić szefa (t.j. sędziego), by tarmosił tatę. Tata powinien sam dokonać wyboru.'

Każdemu z dzieci przyszło do głowy to samo: nie dochodzić praw przed sądem. Tak więc ku przerażeniu prawnika i przyjaciół, wycofałam powództwo. Po to, by utrzymać rodzinę, pracowałam jako sprzątaczka, moja córka zaś pracowała w czasie ferii szkolnych.

Nikt się nie spodziewał, że Geoff umrze osiem miesięcy później, w wieku 43 lat. Gdy był bardzo chory, spytał mnie, 'Jak mogłaś kochać mnie po tym wszystkim?' Odpowiedziałam, że w sercu nie miałam tej miłości, której on potrzebował, prosiłam jednak Boga, by mi ją dał i ten nie odmówił.

W szpitalu, wodząc swoją cienką ręką po mojej twarzy, Goeff wypowiedział swoje ostatnie słowa, 'Bardzo cię kocham.' Goeff w końcu znalazł Boga a przebaczenie uleczyło i nasze rany.

Betty Bailey mieszka w Sydney, Australia. Jej dzieci są już dorosłe i mają dobre posady. Często udziela poparcia innym rodzinom szukającym pomocy i porady.

Tam gdzie uczucia to fakty

Peter Hannon

Po czternastu latach w Afryce Południowej wróciłem do mojej rodzinnej Irlandii Północnej. Oba te kraje cierpią na głębokie rozbicie społeczności.

Pewien mój przyjaciel, katolik, spędził z nami niedawno dzień. Dużo podróżował po świecie, zaangażowany całym sercem w poszukiwanie sposobu rozwiązania konfliktu jako mieszkaniec protestanckiego w przeważającej części miasta. "Myślałem, że mam już w głowie plan dotyczący Irlandii Północnej," powiedział. "Jedna wszakże podróż zagraniczna sprawiła, że powraca we mnie wciąż ten sam koszmar. Było to 12 lipca (kiedy to protestanccy oranżyści świętują swoje dawne zwycięstwa). Orkiestry ze sztandarami szykowały się do parady. Byłem w samym środku tego wszystkiego, nikt mnie jednak nie widział. Byłem niewidzialny, obcy we własnym mieście."

Żona i ja pochodzimy z uprzywilejowanych rodzin protestanckich i dumni jesteśmy z naszego dziedzictwa. Musimy jednak pogodzić się z tym, że inni zupełnie inaczej reagują na tę tradycję.

Niedawno podejmowaliśmy wybitnego prezbiterianina. Powiedziałem mu, "Wyrosłem w ramach anglikańskiego Kościoła Irlandii, "wielkiego domu" dominującego nad wszystkim. Całe pokolenia zakładaliśmy, że mamy prawo rządzić sprawami i ludźmi, tak jak chcemy, wielu więc ludzi tak jak pan czuło, że nie mają równego udziału we władzy. Jest mi przykro. Arogancję tego rodzaju, co moja, trzeba leczyć. Muszę nauczyć się słuchać. Co pana zdaniem należy uczynić?" Od tego momentu zrodziło się między nami porozumienie.

Przez jedność rozumie się często stan rzeczy odpowiadający przysłowiu "kruk krukowi oczu nie wykole" ; tego rodzaju zgodność, która nie dopuszcza ludzi myślących odmiennie.

Jest też jedność dialogu, dość obecnie modna. Ma swoje ograniczenia. Kiedy już dowiem się, co druga osoba myśli, cóż wówczas? Czy naprawdę mogę liczyć na to, że gdy inni zrozumieją już mój punkt widzenia, to go docenią.

Mit ten załamał się w moim przypadku w Afryce Południowej. Pracowałem z Afrykanerem. Myślałem, że idzie nam ze sobą dobrze, ale któregoś dnia wybiła godzina prawdy. "Peter, zupełnie nie można z tobą pracować. Ty myślisz, że wszystko wiesz najlepiej, i naprawdę interesuje cię tylko to, co ty robisz." Przytoczył różne przykłady. Odszedłem zraniony, w poczuciu, że jestem nie rozumiany.

Wróciłem nazajutrz: "Przepraszam, że cię zraniłem. Nie chciałem." I próbowałem wyjaśnić. Bez rezultatu.

Jednakże kilka dni później zaczęło przenikać trochę światła. Mój przyjaciel mógł ocenić mnie obiektywniej niż ja bym to zrobił. Nie chodzi o poszczególne wady i zalety. "Dobre intencje nie są usprawiedliwieniem." Największe rany można zadać, kiedy się jest ślepym na to, co robi się innym.

Tydzień później obudziłem się wcześnie rano z jeszcze jedną nieprzyjemną myślą, iż prawdę mówiąc, przychodziło mi bez trudu traktować nawet tych, którzy byli mi najbliżsi, jako obywateli drugiej kategorii. Próbowałem tę myśl odrzucić, ona jednak trzymała się uparcie: tak długo, jak byłem zadowolony z tego, co robię, nie przeszkadzało mi, że ci, którzy mnie otaczają, zajmują drugie miejsce. Zacząłem dostrzegać, że problemy Afryki Południowej (Irlandii Północnej) nie zaczynają się "gdzieś tam", gdzie mieszkają jacyś nierozsądni ludzie, lecz we mnie samym.

Kiedyś w niespokojnej dzielnicy Belfastu Zachodniego spytałem pewnego przyjaciela, "Jakie są fakty istotne dla tutejszej sytuacji?"

"Fakty?" odpowiedział po chwili milczenia. "Fakty jedynie zamazują cały obraz. W tym kraju każda ze stron ma cały ich zbiór, faktów zazwyczaj ścisłych, dobranych jednak pod kątem udowodnienia swoich własnych racji. Każdy zaś ignoruje fakt najzupełniej autentyczny - to, co myśli druga strona."

Jako chrześcijanina uczono mnie, że jeśli w drodze do ołtarza przypomnę sobie, że mój bliźni żywi do mnie jakiś żal, to muszę wpierw udać się do niego i naprawić wyrządzone zło. Jest to wskazówka najzupełniej jasna, która bierze pod uwagę nie tylko to, co czuję ja, ale i to, co czuje bliźni.

Omawiając problem anglo-irlandzki nie można oczywiście pozwolić sobie na naiwność. Jest wielu ludzi bezwzględnych, których obchodzi jedynie walka o władzę lub zyski. Na czym jednak polega różnica między stawianiem czoła rzeczywistości a skreślaniem ludzi? Nie powinno się posługiwać realizmem jako wymówką, by współpracować jedynie z tymi, których uważam za zgodliwych i dających sobą kierować. By móc osiągać postęp, trzeba przełamywać nowe bariery. Trzeba czegoś więcej niż porozumienia podobnie myślących zwolenników złotego środka.

Wraz z żoną odwiedziliśmy bez zapowiedzi zwolennika partii Sinn Fein. Często szedł do więzienia za swoje przekonania. Weszliśmy, gdy jego rodzina zbierała się do posiłku, i odczuliśmy ich wzajemne ciepło. Nawet w tak krótkiej chwili stereotypy mogą zacząć się chwiać.

Powiedziałem, że przyszliśmy posłuchać, toteż on zaczął wyrzucać z siebie swoje poglądy i gorzką alienację. Nie ze wszystkim mogłem się zgodzić, razem jednak mogliśmy na świeżo spojrzeć na realia. Obaj na przykład kochamy nasz kraj, to jednak, co we mnie budzi nutę dumy, dla niego często oznacza upokorzenie.

Zadeklarowałem swoje zainteresowanie. Czy nie moglibyśmy pracować dla takiej Irlandii, która nie przyniosłaby korzyści wyłącznie mojej albo jego grupie, lecz przywróciłaby światu wiarę poprzez przykład twórczej jedności?

Jedność taka nie ma nic wspólnego z wymuszoną jednomyślnością czy powierzchowną zgodą. I nie ma nic wspólnego z apologetyką czy uginaniem się przed innymi. Związki międzyludzkie można odnowić tylko wówczas, gdy jest się wiernym swoim przekonaniom. Oznacza zapewnienie tego, by każdy miał równe szanse..

"Nie moja wola, lecz twoja". Nie moje przywileje i zyski, ani też moja polityka czy punkt widzenia, lecz wierność przykazaniom bożym. Tu tkwi źródło jedności, dla którego warto pracować - jedności posłuszeństwa.

Peter Hannon jest autorem książki "Southern Africa - what kind of change".

W krzyżowym ogniu zamieszek

Sushoba Barve

Wraz z inną kobietą hinduską jechałyśmy pociągiem z Bombaju do północnej Indii tego samego dnia, którego p. Gandhi została zamordowana przez dwóch własnych strażników sikhijskich. Pociąg został zatrzymany przez rozjuszonych wieśniaków szukających pasażerów-Sikhów. Stanęłam przed tłumem i próbowałam przemówić im do rozsądku. Rozgniewali się tylko i zostałam zaatakowana, zaś dwóch niewinnych sikhijskich pasażerów wywleczono z mojego przedziału, pobito, a następnie podpalono. Gdy pociąg odjeżdżał, myśleliśmy, że nie żyją.

Wstrząsnęło mną to do głębi. Byłam oburzona tym, co się stało i że dopuszczono do tego w moim kraju. Odpowiedzialnością za to obarczałam jednostki - polityków i wielu innych. Sama czułam się winna, że nie potrafiłam uchronić niewinnych ludzi. Którejś nocy jednak przyszło mi do głowy, że tak długo, jak w swoim sercu nosić będę urazę, gniew i winę, nic nie będę mogła zrobić dla Sikhów, zranionych tak głęboko i upokorzonych, ani dla nie-Sikhów, którzy widzieli tylko swoją rację, lecz również w pewnym stopniu czuli się winni.

Postanowiłam zatem przyjąć odpowiedzialność za to, co się stało – ludzie tacy jak ja przyczynili się do tragedii poprzez obojętność, arogancję i przesąd. Gdy uznałam to już w głębi serca, zaczęłam dostrzegać, co ja, jako zwykły śmiertelnik, mogę robić, by pomóc w odbudowie tego, co wydawało się całkowicie zburzone. Pisałam więc do Sikhów w całej Indii, większości których nie poznałam nawet osobiście. Byli to dziennikarze, politycy, generałowie armii i oficerowie policji, gospodynie domowe i studenci. Później wielu z nich spotkałam osobiście. Wszystkim opowiadałam o moim przeżyciu w pociągu, wyrażając żal z powodu głębokich ran i upokorzenia odczuwanego przez członków ich społeczności. Pomogło to uleczyć wiele serc.

Trzy miesiące po tym incydencie otrzymaliśmy wiadomość, że dwaj pasażerowie, których uważaliśmy już za zmarłych, mogli jednak przeżyć. By odkryć prawdę, wybrałam się znowu w tę samą drogę z Bombaju do Indii północnej. Odwiedziłam ich rodziny i stwierdziłam, iż obaj mężczyźni naprawdę żyją. Nie wylizali się jeszcze ze swoich poważnych ran i stłuczeń, lecz spotkanie z nimi i ich rodzinami było bardzo radosne. Gdy im powiedziałam, jak źle się czułam, że nie potrafiłam ich ochronić, odparli, 'Właściwie to nam jest przykro, że musiała pani cierpieć z naszego powodu.' Powiedzieli też, że być może Bóg dał im podarunek nowego życia, by mogli coś zrobić dla zbliżenia ich społeczności do innych ludzi. To, że ci ludzie, którzy mieli wszelkie prawo do goryczy, nie byli wcale rozgoryczeni, daje mi i teraz wiele do myślenia.

Dziś, grupa złożona z Hindusów i Sikhów wspólnie pracuje nad wytworzeniem właściwego ducha współpracy między naszymi społecznościami. W zeszłym roku w New Delhi rozmawialiśmy z niektórymi przedstawicielami społeczności hinduskiej oskarżonymi o udział w rozruchach z 1984 roku. Początkowo z gniewem wypierali się wszystkiego. Potem jednak przyznawali, 'No tak, niektórzy z naszej grupy brali udział w zamieszkach. Nas jednak wykorzystano i poddano manipulacji. Nie nasza wina.' My pytaliśmy z kolei, 'Dlaczego daliście się w ten sposób wykorzystywać i pozwoliliście sobą manipulować?' Wówczas milknęli i zaczynali się rozchodzić.

Po kilku dniach wrócili jednak, by powiedzieć, 'Od 1984 roku ciąży na naszym sumieniu to, że niektórzy z naszej grupy popełnili te okropne przestępstwa. Czujemy się z tego powodu winni, nie wiemy jednak, co robić.' Zaaranżowano więc spotkanie między nimi a emerytowanym sikhijskim sędzią, który pomagał ofiarom zajść. Hindusi przeprosili sędziego i spotykali się odtąd z innymi Sikhami, którzy ucierpieli podczas zajść.

Często w Indii uczucia między większością hinduską a społecznościami mniejszościowymi podobne są do tych między Indią a sąsiednimi krajami. Gdy Hindus zaczyna rozumieć lęki, nadzieje i aspiracje indyjskich grup mniejszościowych, wówczas, jak sądzę, rozumie, co myślą o nas sąsiedzi. Jedyna nasza nadzieja w tym, że ludzie odrzucą odwet w duchu przebaczenia.

ŻYCIE RODZINNE

Zielona polana albo dżungla

John Bond

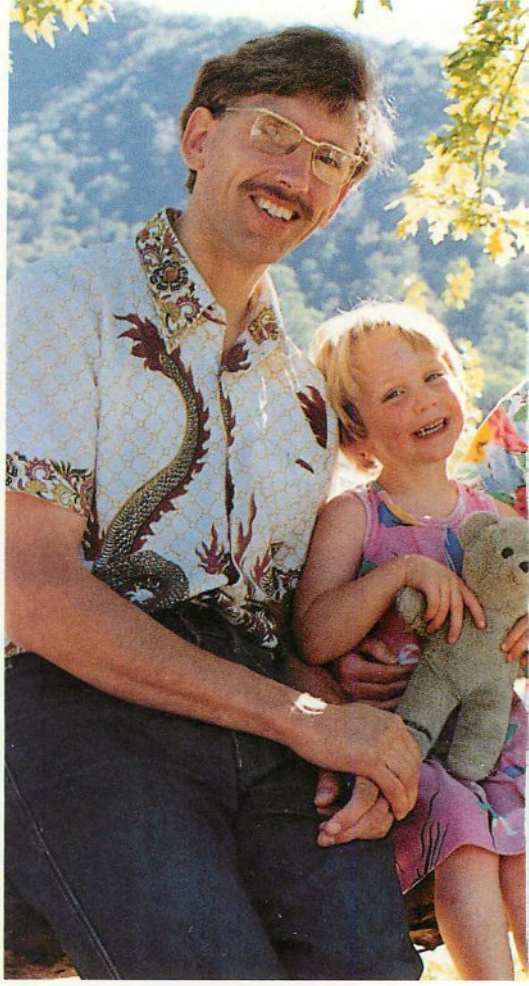

Foto: D Mayor

John, Christine, Nada i Miriam Bond

Wymienili obrączki, przyrzekli sobie wzajemną miłość i przeszli środkiem kościoła. Teraz życie ich będzie...

Usłane różami?

Wkrótce po naszym ślubie ogarnęło mnie przerażenie. Nagle zdałem sobie sprawę, jak trudno będzie pogodzić beztroską naturę Nady i moją poważną ambicję. Droga do przyszłości, która zrazu zdawała się atrakcyjna, stała się dżunglą.

Na pewno się zmieni, pomyślałem, jak dżungla w zieloną polanę. Zacząłem więc marszowo, jak przystało synowi oficera armii brytyjskiej, ufny że ona podążać będzie za mną równym krokiem. Z Australijczykami nie jest jednak jednak tak łatwo, wkrótce więc okazało się, że triumfuje dżungla.

Rozwód dla mnie nie wchodził w grę, trochę z powodu mojej dumy, głównie jednak z powodu mojej wiary. Podejrzewałem, że Bóg patrzy na to wszystko inaczej niż ja, że warto się tego trzymać. Było warto.

Uważałem to za naturalne, bo przecież byliśmy u ołtarza, nasze małżeństwo było bezpieczne. Dla Nady superważną sprawą była jakość naszego partnerstwa, więc była znudzona i samotna. Stopniowo zacząłem dostrzegać, że miłość nie przychodzi lekko, ja zaś całkowicie lekceważyłem jej cenę.

Ceną jej było spojrzenie na cierpienie w moim życiu i przekonanie się, jak rany otoczyły moje serce twardą skorupą niby tarczą, która chroni przed dalszymi ranami. Trudno było przebić tę skorupę. Podobnie jednak, jak walka kurczaka o wydostanie się ze skorupy jest ważna dla uruchomienia jego krążenia krwi, tak i mnie walka umożliwiła poznanie tego, czym jest miłość.

Miłość to coś więcej niż początkowy entuzjazm zakochania. Gdyby było inaczej, nasze związki małżeńskie szybko wyparowywałyby jak bąbelki coli.

Ciągle mówi się nam, że seks to panaceum na wszystko, że jest istotny dla szczęścia i rozwiązania problemów emocjonalnych. W australijskich badaniach nad rozwodzącymi się parami 'niedopasowanie seksualne' figurowało na czele listy powodów załamywania się małżeństw. Seks nie może jednak sprawić, by funkcjonowało małżeństwo, jeśli nie klei się ono poza sypialnią.

Przyjaźń jest bardzo istotnym składnikiem małżeństwa, jednak i to nie jest pojęcie dostateczznie wielkie, ponieważ nadal ogranicza miłość do uczucia. Ja odkryłem, że miłość oznacza troskę o drugą osobę pełnym sercem, bez względu na to, jakie są moje uczucia. Dopiero wówczas zaczynam doświadczać miłości, która zadowala i wzbogaca sama przez się a nie z powodu jej odzewu. To miłość, która umożliwia drugiej osobie pełen rozkwit. Tę miłość sportretował Chrystus.

Więź

Czasem okazja, by się tego nauczyć pojawia się jedynie w chwilach, kiedy miałoby się ochotę spasować. Stąd znaczenie małżeństwa, kontraktu opartego na więzi. Dietrich Bonhoeffer pisał z więzienia w mowie przygotowanej na wesele córki: 'To nie twoja miłość cementuje małżeństwo, od tej pory małżeństwo cementuje twoją miłość.'

Mój przyjaciel gwałtownie się zarzeka, że nigdy się nie ożeni. 'Nie sprowadzę dzieci na ten okropny świat,' powiada.

Myślę, iż rozumiem, dlaczego tak to czuje. Kiedyś znalazłem okazję, by spytać go, czy kochał rodziców. Zaśmiał się gorzko: 'W naszym domu nikt nie słyszał o miłości.'

Znam innych jemu podobnych. Wielu czuło się pokonanych niemożliwością zbudowania przyjaźni wykraczającej poza powierzchowność. Pomnóż ich wszystkich i oto masz przyczynę obserwowanego w ostatnich latach odchodzenia od małżeństwa w krajach zachodnich. Jesteśmy świadkami kryzysu związków międzyludzkich.

Nie może to dziwić. 'Jednym z wzorców zachowaniowych u dzieci z rozbitych rodzin,' pisze autor amerykańskiej publikacji **Marriage and Divorce Today**, 'jest ich niechęć do nawiązywania jakichkolwiek trwałych związków.' Trzecia część dzieci amerykańskich widziała, jak rozchodzą się ich rodzice, a w innych krajach zachodnich odpowiedni odsetek jest niewiele mniejszy.

Tkwi tutaj wielka potrzeba naszego pokolenia. Duża i coraz bardziej wzrastająca liczba młodych ludzi nie nauczyła się w domu sztuki budowania trwałych związków. Są oni przez to

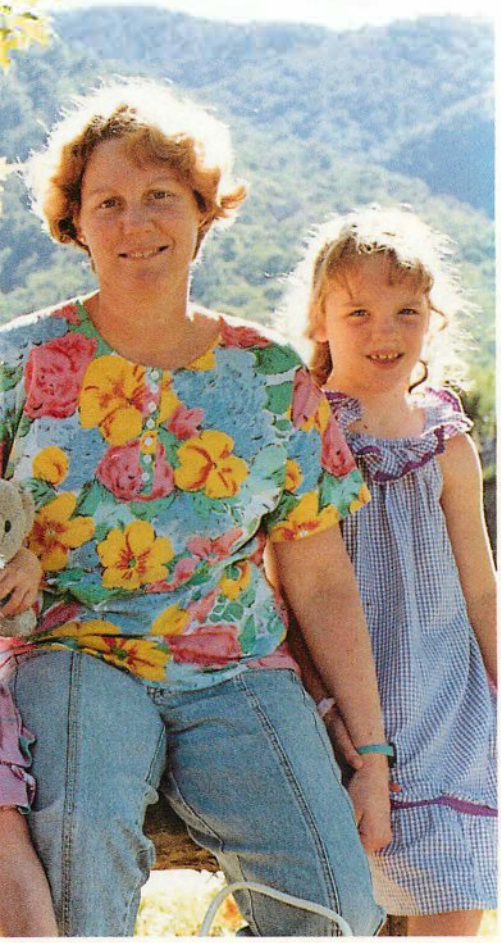

Bernard i Joan Hennessy oraz ich dzieci, (od lewej do prawej) John, David, Elizabeth i Catherine.

narażeni na głębokie urazy podczas prób ich budowania. Odpowiedzią jest ułatwienie rozwodu. To jednak tylko komplikuje problem.

Ponieważ nieograniczona, promieniująca swobodnie miłość będąca tlenem małżeństwa jest również tlenem społeczeństwa, to im bardziej traktujemy ją jako towar, którego możemy się pozbyć właściwie bez żalu, tym bardziej duszą się nasze instytucje - nasze systemy zdrowia i opieki społecznej. Teraz zaś, gdy ludzie próbują tchnąć nowe życie w tak wiele instytucji międzynarodowych i związków, tlen jest istotniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

Nie jest to problem, który możemy zostawić ekspertom. Niedawno w Sydney tysiące ludzi przyszło w jeden weekend, by oczyścić plaże, przywracając życie akwenowi. W podobny sposób Nada i ja jesteśmy częścią sieci rodzin pracujących nad zaleczeniem ran i dostarczeniem naszemu społeczeństwu nowej energii.

Nawiązaliśmy dzięki temu przyjaźnie z różnego rodzaju ludźmi. I często ci, którzy cierpieli najbardziej, w największym stopniu odświeżają naszego ducha.

Jak wysadzić dwumetrowy mur.

'Pamiętam, iż myślałam, że nigdy już się nie uśmiechnę,' mówi Joan Hennessy, uśmiechając się gorzko, gdy wspomina okres, kiedy jej małżeństwo z Bernardem było w strzępach. 'Kiedy byłam z nim, pozostawałam napięta. Dopiero wtedy, gdy byliśmy daleko, czułam się sobą.' Próbowali podróży zagranicznej, ta jednak zerwała ostatnią nić. Joan w pół drogi zawróciła do domu. Gdy wrócił Bernard, szykowała się już rozprawa rozwodowa.

Dla Bernarda stanowiło to koszmar. Od kilku pokoleń jego rodzina to lojalni członkowie kościoła katolickiego, dla których małżeństwo było świętością.

Joan nie miała takich zmartwień. 'Gdyby Bóg istniał, nie kazałby mi przeżywać takiego dramatu,' rozumowała. Umawiała się więc z wieloma mężczyznami,' z których jedni byli żonaci a inni nie'. Chciała dobrze się bawić i znaleźć innego partnera. 'Coraz bardziej jednak zaczęłam odczuwać pustkę.'

Wróciła do nazwiska panieńskiego,

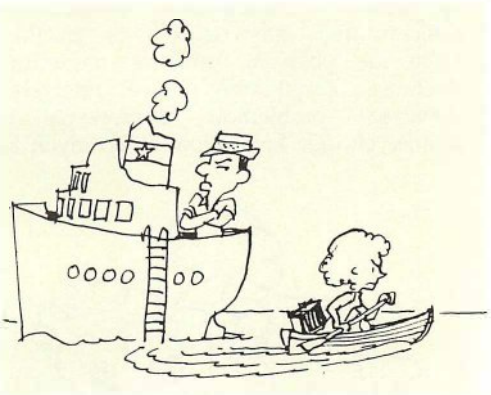

choć jej szef wiedział, że jest mężatką. W tajemnicy przed nią zaczął spotykać się wraz z innymi w intencji uleczenia jej małżeństwa. Kiedyś - Joan odkryła to dużo później - spędził całą noc na modlitwie - ponieważ mu powiedziała, że mają się spotkać z Bernardem, by dokończyć podziału własności, czego bardzo się obawiała.

Nie cierpała skomplikowanego planu finansowego Bernarda. Miał on minimalizować ich straty. Tak przynajmniej twierdził, bo ona nie była tego pewna. Zastanawiając się nad tym, Bernard zdał sobie sprawę, że jeśli ona

ciąg dalszy na str.15

Mó kubek herbaty

Nada Bond

Przeszliśmy tyle doświadczeń, że zapisałam sobie kilka praktycznych reguł.

*** Nie wzruszać ramionami**

Nigdy nie wzruszaj ramionami i nie mów 'Tacy są mężczyźni.' Zawsze spodziewaj się popełniania błędów, staraj się uczyć, przebaczać i zdobywać nowy teren.

*** Nie obawiaj się zmiany**

Nie ma co mówić mężowi, że jest szowinistyczną świną, gdy ja trzymam się swoich dziwactw. Małżeństwo wyolbrzymia cechy charakteru. Oboje musimy elastyczniej podchodzić do wszelkiego rodzaju zaprogramowanych wzorców myślowych i przyzwyczajeń.

*** Nie wybuchaj złością**

Kiedy nasza trzyletnia córka rozlała herbatę na meble właściciela wynajętego pokoju, puściły mi nerwy. Potem olśnienie - złościłam się na każdego, tylko nie na samą siebie - a przecież to był mój kubek herbaty.

*** Słuchaj twórczej rady.**

Inni widzą rzeczy, których my nie dostrzegamy. Niedawno przyjaciel zwrócił mi uwagę, że moja siedmioletnia córka zamyka się w sobie, gdy gadam za dużo. Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Odkryliśmy, że Bóg jest obiektywnym i współczującym źródłem idei twórczych . Zanim obudzą się nasze dzieci, my modlimy się, rozprawiamy o naszych sprawach i słuchamy wskazówek boskich. Ten czas refleksji to źródło, które nie pozwala zamierać naszemu duchowi. Znajdujemy nowe pomysły dotyczące problemów domowych i biurowych oraz konfliktów związanych z brakiem czasu i oceną ważności spraw.

***Ustal swój cel życiowy.**

Jeśli wszystko, o co ci chodzi, to uwić sobie wraz mężem wygodne gniazdko, to twój mąż doprowadzi cię do szału! Potrzebujecie celu, który byłby waszym wspólnym. My dążymy do zbudowania bardziej troskliwego społeczeństwa, w którym życie rodzinne nie byłoby piekłem - takim, jakim nieraz je czynimy. Może się wydawać, że to próba sięgnięcia aż do gwiazd. Istotnie, cel nasz łatwo się gubi wśród napięć życiowych.

Dlatego właśnie każdego dnia potrzebujemy chwili ciszy, by dać się prowadzić 'gwiazdom'. Wymaga to pewnego wysiłku, który warto podjąć, by przy pomocy własnego domu zbudować ducha wspólnoty. Nie uda się to, jeśli swojej rodzinie dawać będziesz mniej niż komu innemu. Robienie jednak dla innych ludzi tyle, ile się da, to wielka frajda i coś, co zawsze jeszcze bardziej nas jednoczy.

Celem równie istotnym jest dać naszym dziewczynkom i ich pokoleniu kościec moralny i źródło inspiracji, którego będą potrzebować, by sobie w życiu poradzić. Uczę zatem religii w szkołach miejscowych.

*** Konflikt to nie koniec świata.**

Sam w sobie konflikt nie jest niczym złym. Niedobrze jest być bez kręgosłupa. Tak samo uczucia ; wiele się można od nich nauczyć. Chodzi jednak o to, jak sobie z nimi radzić. Trzeba nauczyć się być jednostką autentyczną, ale zarazem, w dojrzały sposób, brać w nawias swoje poglądy, by móc wspólnie pracować.

Gdy nasze dziewczynki widzą nas, jak słuchamy bez pochopnych sądów, rozważając opinie, negocjując, to uczą się czegoś w życiu bardzo cennego.

*** Nie tylko rozmawiać - porozumiewać się**

Odkryliśmy, że zwykła uczciwość to jedyna rzecz, która rodzi niezbędne w małżeństwie zaufanie. Są sprawy oczywiste, takie jak, ile wydałam w miesiącu, albo czego znowu zapomniałam. Trzeba jednak posprzątać także bałagan wewnętrzny - powiedzieć, że coś mnie uraziło lub zraniło, albo czego naprawdę domagam się od uczuć i umiejętności partnera. Małe urazy nawarstwiają się. Konsekwentna otwartość podtrzymuje płomyk miłości i zaufania.

Gdy ktoś inny mi się spodobał i powiedziałam o tym Johnowi, oboje nie szczędziliśmy sobie ognistych krytyk. Ale gdy już stawiliśmy tym krytykom czoła, wróciła miłość i szacunek. Tamta zaś fascynacja więdła i mijała.

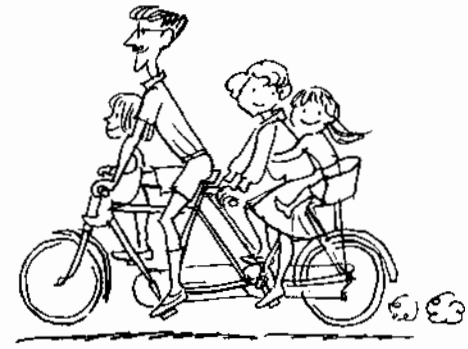

*** Postawa wdzięczności**

Jak większość naszych przyjaciół daleko jesteśmy od naszych rodzin i wychowujemy nasze dzieci bez pomocy z ich strony. Jest to walka. Rozglądając się jednak widzimy, że innym jest jeszcze bardziej ciężko.

John ma absorbującą pracę a nasza najmłodsza to jeszcze maleństwo. Ze mnie żadna supermama albo zapalona kucharcia. Ludziom podobają się chyba nasze rodzinne posiłki, z których wiele się kończy swobodną pogawędką, gdy dzieci już pójdą spać.

Kiedyś wraz z innymi zorganizowaliśmy nieformalne 'seminarium rodzinne', podczas którego wszyscy dzieliliśmy się doświadczeniem w zakresie małżeństw, rodzin zastępczych, potrzeb nastolatków, przepaści kulturowej i wielu innych spraw. Przybyło wielu naszych przyjaciół i chwaliło wartość przedsięwzięcia. Głos zabierała między innymi pani Judith Ward, z zawodu nauczyciel poradnictwa małżeńskiego, która uprzytomniła nam, jak głębokie musi być porozumienie między partnerami, by ich związek był skuteczny. (Zob. załączony obok obrazek).

Cią dalszy ze str. 13

nie będzie przekonana, że podział jest uczciwy, utrwali to tylko całą gorycz. Wymyślił nowy plan, nad którym jego doradca finansowy z niedowierzaniem potrząsnął głową. 'Po co panu w ogóle doradca finasowy?' spytał. Joan jednak natychmiast podpisała nową propozycję. 'Jak poszło?' zapytał ją szef, gdy wróciła do pracy. 'Zupełnie dobrze,' odpowiedziała. 'Mówiłem ci, żebyś się nie martwiła,' powiedział wesoło.

Zachęcał Joan, by wybrała się na spotkanie katolickiego ruchu odnowy charyzmatycznej. Nigdy jeszcze nie była na takim spotkaniu, jednak ciepło miłości zrobiło na niej wrażenie. Zaczęła się modlić. Natychmiast, niemal jak grom, uderzyła ją pewna myśl, tak że nawet odwróciła się, żeby zobaczyć, czy to nie były słowa osoby stojącej bezpośrednio za nią: 'Wróć i poproś go o wybaczenie.' Gdy myśl ta wróciła znowu, spojrzała na sufit, mówiąc, 'Zapomnij o tym. Jeśli to ty, Boże, to ja w żaden sposób nie mogę tego zrobić.'

Kazanie wygłosił ksiądz franciszkanin.

'Powiedział, że nie można kochać kogoś naprawdę, jeśli odrzuca się kogoś innego,' wspomina Joan. Słowa te uznała za sensowne - 'Byłoby milej, gdybyśmy, Bernard i ja, rozstali się jako przyjaciele niż żebym na samo jego wspomnienie dostawała bóli żołądka. Zdecydowałam się więc podjąć próbę.'

Bernarda oszołomiły jej przeprosiny. 'Zdołałem jej powiedzieć tylko tyle, że to raczej ja powinienem prosić ją o wybaczenie. Bardzo proste słowa, ale na dwumetrowy mur, który nas dzielił, podziałały one jak detonator. Nadal byliśmy od siebie daleko, patrzyliśmy jednak sobie prosto w oczy. Tego dnia postanowiliśmy jeszcze raz spróbować.'

Było wiele przeszkód. 'Kiedy jednak się pojawiały, prosiliśmy Boga o to, by nam pomógł i uleczył tę naszą postawę czy niechęć,' mówi Joan. 'Krok po kroku to czynił.' Dla Bernarda oznaczało to uczenie się miłości. 'Przedtem znałem głównie przywiązanie. Przywiązanie bez miłości jest jednak czymś jałowym.'

E peters

Jak mówić o tym, co najważniejsze?

Mary Griffith

Odkąd jesteśmy małżeństwem aż do swego niedawnego odejścia na emeryturę, mąż mój Allan był doradcą kolejnych australijskich premierów w zakresie stosunków międzynarodowych. W wyniku tego wiele czasu spędzał zagranicą z dala od rodziny.

Gdy mi się oświadczył, pracowałam jako nauczycielka. Po ślubie zrezygnowałam z mojej pracy, dając pierwszeństwo jego pracy w centrum życia kraju.

Dzisiaj, gdy nacisk pada na jednostkową samorealizację, o tego rodzaju przywiązaniu zapominamy. W każdym jednak dobrze funkcjonującym partnerstwie można dzielić odpowiedzialność za dom, nawet jeśli same obowiązki nie dadzą się równo podzielić. To poświęcenie nie okazało się dla mnie trudne, choć było czasem ciężko być obarczoną wyłączną odpowiedzialnością za dzieci. Mnie jednak dobrze było być żoną i matką, i odkad nasze córki zaczęły chodzić,mogłam już wrócić do nauczania. Dało mi to niezależne pole zainteresowania, użyteczne, gdy Allana nie było w domu.

Cóż jednak trzymało nas razem mimo napięć, które często oddalają partnerów od siebie? Przekonanie, iż jest z nami tak, jak być powinno, że jest to częścią planu, jaki ma dla nas Bóg. Z pewnością odegrała tu rolę nasza wzajemna miłość i wizja tego, co ma czynić druga osoba. Teraz zaś bardziej ważne jest to, że Allan w inny jeszcze sposób wpływa na bieg spraw świata.

Cieszę się, że zawsze mogliśmy omawiać wzajemne ambicje i powołania. Dawniej kobieta miała się dostosowywać do mężczyzny, teraz jednak stosunki są bardziej liberalne.

Mimo to łatwo jest zranić kogoś bliskiego. Postanowiliśmy więc nigdy celowo nie mówić czegoś, co osłabiłoby wzajemne zaufanie i to jest, jak sądzę, istotny składnik małżeńskiego szczęścia.

D Mayor

Porozumienie szczytowe

Judith Ward

Pani Judith Ward z Anglikańskiej Rady Poradnictwa Małżeńskiego w Melbourne, Australia.

Większość ludzi uważa, iż ich życie jest tak zadowalające jak ich związki, porzestaje jednak na pewnego rodzaju zawieszeniu broni.

Porozumiewamy się na pięciu poziomach: (1) utartych społecznie sformułowań, które niczego nie wnoszą i nic nie dają; (2) przekazywania informacji; (3) naszych idei i sądów; (4) naszych uczuć; oraz (5) "komunikacji szczytowych" - całkowicie otwartych i uczciwych wymian informacji, na ile tylko jest to możliwe z drugą osobą.

Większość z nas wolałaby raczej popełnić nieuczciwość niż zranić drugą osobę. Akumulujemy więc nasze uczucia i pewnego dnia - a może rok później - osoba ta zrobi coś nawet niewinnego a my spuścimy na niego (lub na nią) lawinę.

Gdy jest nam ono najbardziej potrzebne, porozumiewanie się szczytowe najtrudniej osiągnąć. Nie może być żadnych sądów na tym poziomie porozumiewania się. Emocje jako takie nie są ani dobre ani złe i trzeba o nich mówić w chwili ich pojawienia się, a nie dziesięć lat potem. W ten sposób podejmować możemy trudne zagadnienia, które inaczej wepchnęlibyśmy pod dywan i zignorowali.

Gdy jesteśmy w ten sposób otwarci i uczciwi, do uczciwości i otwarcia zachęcamy i drugą osobę. Daje to nam poczucie wzajemnego uczestnictwa, odzyskanego na nowo zaufania i dojrzałości. Tak często w rodzinach nie pozwalamy ludziom dojrzeć.

Właściwe porozumienie nie jest niczym automatycznym. Musimy oczyścić kanały komunikacyjne z błota. Zacząć musimy od siebie, wychodząc z miejsca, w którym się znajdujemy, ku nowym wymiarom w naszych związkach.

Redaktor z zasadami

Gdy potentat finasowy ze Sri Lanki, Upali Wijewardene, zadał mi w 1981 pytanie, czy zechcę redagować jego nową gazetę, odpowiedziałem, iż mam jeden warunek: 'Żadnej interwencji zewnętrznej w pracę niezależnej gazety.' Obiecał, że da mi wolną rękę. Z rozmowy tej wynikła najbardziej fascynująca praca w moim życiu i to w bardzo istotnym okresie dla historii mojego narodu.

Upali dotrzymał słowa. Kiedyś, pamiętam, zawaliła się część konstrukcji międzynarodowego hotelu w Colombo. Naszych reporterów, którzy pierwsi zjawili się na miejscu zdarzenia, zatrzymała ochrona. Byłem wściekły. Dziennikarze mają obowiązek przekazywać wiadomości swoim czytelnikom a zostało to im uniemożliwione. Zdjęcie i sprawozdanie miały się ukazać na pierwszej stronie.

Rozdzwoniły się jednak telefony. Z hotelu, od przedstawicieli rządu. Proponują załagodzić incydent, który źle mógłby wpłynąć na inwestycje, itd. Trzymam się dzielnie, póki nie dzwoni krewna Upali Wijewardene. Czy nie dałoby się przypadkiem załagodzić sprawy, zapytała. Przecież w kierownictwie hotelu są przyjaciele Upali. Sam Upali był niedostępny. Przesunąłem artykuł na stronę trzecią.

Nie minęła godzina, telefon od Upali. 'Czy dzwonił do ciebie ktoś z mojej rodziny?' zapytał. Gdy powiedziałem mu, co zrobiłem, odrzekł, 'Nie po to zrobiłem cię redaktorem, byś zmieniał wszystko według kaprysów i zachcianek mojej rodziny a nawet mnie samego. Zrób to, co powinieneś był zrobić'. Następnego dnia artykuł i zdjęcie powędrowały na stronę pierwszą.

Niestety Upali zginął bez śladu w wieku lat 44, gdy wracał z Malezji prywatnym odrzutowcem typu Lear. Wrak samolotu znaleziono w 1983 roku w pobliżu brzegów Indonezji.

Represje

Moje niezależne poglądy zostały potraktowane bardzo podejrzliwie przez nowe kierownictwo i bardzo często wybuchały awantury. Kiedy w 1986 roku wróciłem z podróży zagranicznej, poinformowano mnie o mianowaniu moim szefem dziennikarza, którego, o ironio, ja sam rekomendowałem Upali do pracy.

Miałem wygodną pracę, a z moją pięciocyfrową pensją byłem najlepiej płatnym dziennikarzem w Sri Lance. Wiedziałem, że ten nowy awans oznacza zmiany w polityce redakcyjnej. Rozmawiałem o tym z moją żoną Lalaną, która mi powiedziała, 'Lepiej już, by ludzie cię pamiętali jako kogoś, kto miał niezależne poglądy, niż jako takiego, kto dla dobrej płacy gotów był z nich zrezygnować'. Jeszcze tego wieczora podałem się do dymisji.

W Cameron-Johnson

Ponieważ w Sri Lance istnieją tylko trzy anglojęzyczne gazety, nie było zbyt wiele posad takich jak ta, którą porzuciłem. Jednak sześć miesięcy później wydawca, który postanowił reanimować zamknięte wówczas pismo **Sunday Times**, zapytał, czy chciałbym być redaktorem. Moim warunkiem była 'niezależna polityka redakcyjna', na co się zgodzono i dzisiaj, po 18 miesiącach wydawania pisma, **Times** jest drugą pod względem wysokości nakładu gazetą niedzielną.

Życie nauczyło mnie tego, że gdy zamykają się jedne drzwi, otwierają się drugie. Codziennie można się czegoś nauczyć. Nie zawsze ma się rację, ale nie ma większej frajdy niż walczyć o swoje przekonania, piórem jako bronią w walce o prawdę.

Były chwile próby. Gazeta przewidziała 20 procentową dewaluację, władze zaś oskarżyły mnie o kradzież sekretów rządowych i próbę wywołania chaosu finansowego! Groziło to karą do dwóch lat więzienia, szczęśliwie jednak sprawę wycofano.

Gdy patrzę wstecz na swoje życie, mam przed moimi oczami dwa incydenty, które wielokrotnie mi przypominały na czym polega ostateczna odpowiedzialność i jak złym doradcą mogą okazać się przesądy.

Pierwsza historia wydarzyła się na farmie należącej do ośrodka Dozbrojenia Moralnego w Panczgani (India), gdzie pracowałem w 1970 roku. Pierwszego dnia mojej pracy przygotowywano pomieszczenie dla 400 kurczaków. Miałem wrażenie, że gwoździe w ramie okiennej nie są dostatecznie mocne. Powiedziałem o tym mojemu indyjskiemu koledze, ten jednak nie zwrócił na to uwagi. Następnego dnia wpadły tam dwie łasice i zabiły 146 kurcząt. Zadowolony, że miałem rację, tłumaczyłem, że przecież ostrzegałem kolegę, który miał więcej doświadczenia. Potępiłem go. Kierownik farmy, Nowozelandczyk John Porteous, przebywał na urlopie. Gdy zaś wrócił, wysłuchał faktów i rzekł, 'Posiedźmy chwilę w spokoju i posłuchajmy naszego głosu wewnętrznego'.

Gdy trochę pomilczeliśmy, przemówił pierwszy w te słowa, 'Chociaż mnie tu nie było, jestem odpowiedzialny za nieszczęście i kurczaki należy zastąpić nowymi'. Hindus przeprosił za niedopilnowanie okna, oświadczając, że też jest odpowiedzialny. Ja również nie czułem się najlepiej, bo przyszła mi do głowy myśl: 'Skoro czułeś, że okno nie jest bezpieczne, to dlaczego nie nalegałeś, żeby zająć się nim dokładniej? Nie zwalaj na innych'. We trzech zdecydowaliśmy się zapłacić za nowe kurczaki. John nauczył mnie, że kierowanie oznacza bycie odpowiedzialnym bez względu na to, czy chodzi o pracę swoją czy cudzą, i ponoszenie odpowiedzialności, gdy sprawy przybierają zły obrót. Nie należy się natomiast ciągle zastanawiać, w jaki sposób najlepiej siebie wybielić.

Drugi incydent miał miejsce, gdy ja i moja żona przebywaliśmy w 1978 roku na Filipinach, ona zaś miała urodzić swoje pierwsze dziecko. Wszyscy nasi znajomi w takich wypadkach korzystali, jak nam się zdawało, z drogich szpitali prywatnych. Nie mieliśmy wiele pieniędzy, chcieliśmy też utożsamiać się raczej z tymi, którzy nie mogą sobie pozwolić na specjalne traktowanie. Zdecydowaliśmy zatem, że spróbujemy skorzystac z darmowego szpitala rządowego. Jak nam powiedziano, nie zdarzyło się jeszcze, by cudzoziemka zdecydowała się na urodzenie dziecka w szpitalu rządowym.

Opieka, jaką otoczono nas w szpitalu, była zaskakująca. Gdy zobaczyłem moją żonę z nowonarodzonym dzieckiem, pomyślałem o innym dziecku, które przyszło na świat w stajence przed wiekami. Żona uśmiechała się i trzymając mnie za rękę powiedziała, 'Często przytaczasz przysłowie buddyjskie "Ból istnieje jako probierz, którym mierzy się przyjemność"'. Urodzenie dziecka w tym szpitalu było prawdziwą radością i cieszę się, że wybraliśmy właśnie to miejsce. Gdyby moje dziecko urodziło się gdzie indziej, martwiłbym się tylko, jak zapłacimy rachunek.

Vijitha Yapa jest redaktorem pisma Sunday Times w Colombo i korespondentem londyńskiego Timesa.

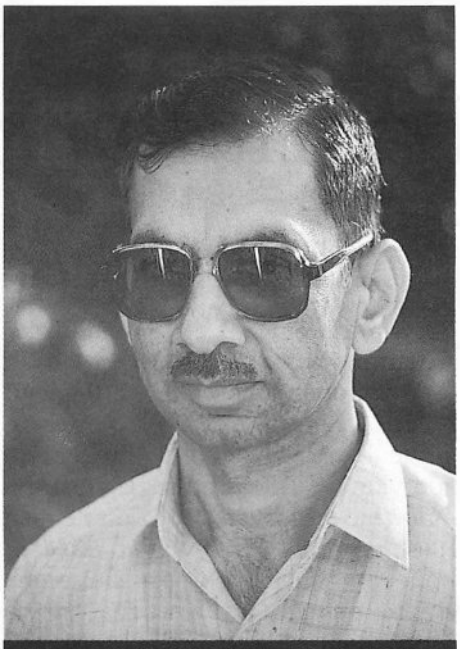

R Kapadia

Sam przeciw korupcji

Kenneth Noble

India ma olbrzymi czarny rynek, który stanowi jeden z głównych czynników powstrzymujących rozwój w tym kraju Trzeciego Świata. Gdy jednak dyskutuje się ten problem, ludzie często mówią: "Jak mogę być uczciwy, kiedy wszyscy wokół mnie są nieuczciwi?"

Jednym z przemysłowców, który postanowił nie posługiwać się tą wymówką jest Om Prakash Bagaria z Assamu. Między innymi z zasady odmawia płacenia łapówek. W wyniku tego często woli stać w zatłoczonym pociągu niż włożyć kilka rupii do właściwej kieszeni.

Historia jego decyzji zaczyna się w 1972 roku, gdy był on dyrektorem technicznym przedsiębiorstwa produkującego sprzęt dla przemysłu herbacianego w Assamie. Kierownictwo przedsiębiorstwa weszło w gwałtowny spór z robotnikami. Palono kukły dyrekcji. Szef przedsiębiorstwa był poważnie załamany i miał atak serca. W drodze do szpitala zachęcał swoich kolegów, by znaleźli rozwiązanie konfliktu.

Głównym przedstawicielem robotników był J.C. Kar, którego osiem lat wcześniej wyrzucono za nieobecności w pracy. W następnych latach zorganizował związek zawodowy tysiąca członków przedsiębiorstwa prowadząc jednocześnie długą walkę prawną przeciw swojemu zwolnieniu.

W trakcie tego konfliktu Bagaria spotkał przedstawicieli Dozbrojenia Moralnego. Sceptycznie zareagował na ich sugestię, że "zmiana zaczyna się od ciebie samego". Powiedział im o Karze i oświadczył, że zakceptuje ich idee, jeśli potrafią spowodować taką samą zmianę w tym "diable wcielonym".

Później Bagaria był zaskoczony, gdy zobaczył Kara na spotkaniu, na którym głównymi mówcami byli przedstawiciele Dozbrojenia Moralnego. Na Karze jednak nie zrobili oni większego wrażenia. Oświadczył: "Nawet jeśli wyznamy nasze błędy, to skąd pewność, że kierownictwo przyzna się do swoich".

Bagaria nie był człowiekiem religijnym. Owszem, bywał w świątyni zakładowej, ale tylko dlatego, że należało do jego obowiązków wyłączanie świateł. Jednakże, krótko po tym spotkaniu wziął udział w zbiorowej modlitwie zorganizowanej na intencję szefa przedsiębiorstwa i tam właśnie przyszła mu do głowy pewna myśl. Niczego dotąd nie uczynił dla pewnego robotnika, który leżał w łóżku od sześciu miesięcy z powodu uszkodzenia kolana. Do tej pory Bagaria nie interesował się robotnikami, przekonany, że jego główne pole odpowiedzialności to maszyny. "Myśl była jednak tak natarczywa, że poszedłem do jego domu," wspomina. Gdy się tam już znalazł, przeprosił za swój brak troski i obiecał mu, że opłaci mu podróż do innego miasta, by mógł skonsultować się ze specjalistą.

Po raz pierwszy Bagaria odwiedził jakiekolwiek robotnika w domu. To zdarzenie dało mu tyle odwagi, że postanowił zwrócić się do Kara. "Dlaczego boimy się siebie wzajemnie?" zapytał Bagaria. "Zaproś swoich przyjaciół do mojego domu, pogadamy."

Kar przyszedł pod warunkiem, że spotkanie będzie poza protokołem. Wcześniej Bagaria nigdy specjalnie się nie wgłębiał w istotę żądań robotników. Teraz powiedział im, że jeśli wycofają kilka sposród żądań, które uważał za nierozsądne, on będzie walczył w ich imieniu o realizację pozostałych żądań. W ciągu trzech godzin osiągnęli porozumienie ustne we wszystkich punktach, Bagaria zaś wziął wypracowany przez nich plan do dyrektora przedsiębiorstwa, który podpisał go z radością.

Doświadczenie to oznaczało punkt zwrotny w myśleniu Bagarii. Od tej pory, ilekroć proszono go o łapówkę, zwyczajnie nie mógł się zmusić do jej wręczenia.

Później zajął się jedną z fabryk przedsiębiorstwa w innym mieście. 300 pracowników wytwarzało tam drzwi, okna i inne produkty. By uzyskać zamówienia, Bagaria musiał przedstawiać oferty, głównie agendom rządowym. Był to trudny okres, gdyż zamówienie po zamówieniu przekazywano firmom konkurencyjnym, bo Bagaria nie płacił łapówek.

Spotkał kiedyś dyrektora handlowego rafinerii, znanego z łapownictwa. Powiedział mu "Chcę, byś dał nam kontrakt nie po to, by dyrekcja przedsiębiorstwa obrastała tłuszczem, lecz po to, by 300 ludziom żyło się dostatniej". Rozmówca był wzruszony i z tak dużym oddaniem walczył potem, by Bagaria otrzymał kontrakt, że kierownictwo rafinerii zaczęło coś podejrzewać. Bagaria nie dostał kontraktu, ale bardziej ceni sobie przyjaźń, którą udało mu się nawiązać z dyrektorem handlowym.

W 1974 roku działy rodzinne spowodowały rozbicie przedsiębiorstwa. Bagaria stanął na czele dwóch fabryk, jednej w Tezpur (stan Assam), drugiej w stanie Bihar, wykonującej odlewy stalowe.

W Biharze uczciwość Bagarii doprowadziła go niemalże do więzienia. Cały kłopot zaczął się, kiedy poskarżył się premierowi stanu, że urzędnik w ministerstwie pracy poprosił o łapówki. W międzyczasie inspektorzy Korporacji Przemysłu Ciężkiego stwierdzili, że niektóre spośród obudów ze stali manganowej wytwarzanych w fabryce Bagarii miały niewłaściwy skład. Wiedząc, że obudowy warte są po 400000 rupii, inspektorzy oznajmili, że przepuszczą je, o ile dostaną 5% ich wartości. Bagaria spytał ich, kto byłby odpowiedzialny w wypadku awarii pieca z powodu wadliwych obudów. "Niech pan się nie martwi," odpowiedzieli, "inni wysyłają jeszcze gorsze odlewy." Bagaria odmówił zapłacenia łapówki.

Groźba zamknięcia Bagarii do więzienia spełzła na niczym, ale trzeba było zamknąć fabrykę.

Cztery lata temu Bagaria założył fabrykę w Coimbatore w południowej Indii. I tym razem jego zasady wpędziły go w kłopoty. Chodziło tym razem o elektryczność dla fabryki. "Każdy mi mówił, że nie podłączą mi ani jednego kilowata bez odpowiedniej sumy w łapówkach. Coś się jednak we mnie zbuntowało," powiedział. Zainstalował generator w fabryce, równocześnie jednak wystąpił o przydział mocy przez Komisję Elektryczności. Zaczął otrzymywać wiadomości w rodzaju: "Proszę przybyć do naszego biura, upoważniliśmy pana do odbioru 35 kilowatów." Wiedząc, po co chcieli się z nim zobaczyć, Bagaria zwlekał. Pewnego jednak dnia, pomodliwszy się o wolność od "goryczy, potępienia i poczucia wyższości", wybrał się z wizytą. Było to w okresie kampanii "czystych rąk" Rajiva Gandhiego i Bagaria zapytał jednego z urzędników, "No więc jak to, czy Rajiv Gandhi zdoła oczyścić całe Indie? Bez takich ludzi jak my?" Nieoczekiwanie uderzył we właściwą nutę i człowiek aż podskoczył na krześle. "Potrzebujemy ludzi takich jak pan", powiedział. Podpisał natychmiast 35 kilowatów i obiecał Bagarii dodatkowe 30 - bo o tyle tamten się starał - w ciągu miesiąca.

Bagaria mówi, że te i podobne doświadczenia przekonały jego kolegów w Coimbatore o potrzebie uczciwości w biznesie. Wracając do Assamu był pewien, że może im na czas nieobecności powierzyć południowoindyjską fabrykę.

Przekonania Bagarii nie uprościły mu życia. Z naciskiem jednak twierdzi, że są godne walki. "Społeczeństwo nie byłoby w stanie takiego chaosu, gdyby ludzie nie unikali trudnych rzeczy," powiada. "Jeśli zależy nam na naprawianiu społeczeństwa, absolutna uczciwość jest czymś koniecznym."

Zerwać z na

Trzeźwa prawda miliona al

Wchodniki Bulwaru Hollywood wtopione są duże brązowe gwiazdy. Na każdej wypisano nazwisko kogoś, kto wycisnął swe piętno na przemyśle filmowym. W znacznie jednak większym stopniu Hollywood nosi znamiona prawdziwych dramatów życiowych i ponurych nałogów tych samych niekiedy ludzi.

Po drugiej stronie Ameryki Waszyngton choruje na głód władzy. Jednakże wobec 76000 znanych przypadków narkomanii i 72000 alkoholików Waszyngton ma jeszcze jedno oblicze. Kiedy zaś aresztuje się nastoletnie dzieci dwojga psychologów z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa za masowy handel narkotykami, to całego problemu nie da już się zlekceważyć jako narośli dzielnicy slumsów.

We wrześniu ubiegłego roku George Bush w swym pierwszym transmitowanym przez ogólnokrajową telewizję wystąpieniu prezydenckim do narodu wypowiedział wojnę narkotykom. Uczynił to nie bez kozery. Nadużywanie narkotyków i alkoholu kosztuje Stany Zjednoczone dwa razy więcej niż wojna w Wietnamie w jej szczytowym okresie - około $150 miliardów rocznie pochłania system egzekwowania prawa, leczenie, utracona wydajność i podatki (według danych Narodowego Instytutu d/s Nadużycia Narkotyków).

W Stanach Zjednoczonych, powiedział Prezydent, jest 23 miliony 'czynnych' narkomanów. 'By wygrać wojnę przeciw takim uzależniającym narkotykom jak crack trzeba czegoś więcej niż strategii ogólnokrajowej.' W wojnie tej musimy walczyć wszyscy, 'wspólnota obok wspólnoty, blok przy bloku, dziecko przy dziecku'.

Wynik tej wojny jest niepewny, jasno jednak widać, że środki te, same przez się, nie uleczą nałogu. W poszukiwaniu nadziei i skutecznych środków warto dobrze się przyjrzeć doświadczeniu Alkoholików Anonimowych.

W piwnicy kościoła, odległego tylko kilka bloków od miejsca, gdzie przemawiał Prezydent, spotyka się około czterdziestu ludzi - głównie mężczyzn trzydziestoletnich i starszych. Zatłoczone ulice i policyjne syreny wydają się przez chwilę odległe, gdy zaczyna mówić Murzynka: 'Nazywam się May i jestem alkoholiczką'. Boleśnie, ale bez egzaltacji, opowiada May, jak jej pierwsze dziecko, urodzone, gdy miała lat szesnaście, 'zabija się' teraz narkotykami; jak w wieku 17 lat poślubiła mężczyznę, który 'nauczył mnie, jak pić na umór', i jak karmiła go chili (potrawa hinduska) zaprawionym trucizną po tym, jak ją pobił, jak po pijanemu rozbiła swój samochód i podpaliła dom. Gdy 'wina zjadała mnie żywcem', zwróciła się wreszcie do Alkoholików Anonimowych. Otrzeźwienie nie przyszło łatwo - któregoś jednak wieczora udało się jej jednak pozostać w pełni trzeźwą po raz pierwszy od kilku lat. 'Lubię tę osobę, którą się staję', wyznała May z poczuciem pewności.

Ponad milion alkoholików, takich jak May, udało się doprowadzić do wyzdrowienia dzięki alkoholem Anonimowym. W tej chwili około 1,6 miliona członków uczestniczy w jednej z 76 tysięcy grup rozsianych po całym świecie. Nikt jednak nie wątpi, że to tylko ułamek tych, którzy uczestniczą w spotkaniach. Liczba ta nie obejmuje grupy Al-Anon (obejmującej rodziny w stanie chaosu spowodowanego alkohoholem) ani też desperackich strumieni ludzkich, którym pomagają coraz bardziej liczne grupy samopomocowe, które od AA pożyczyły zasady i doświadczenie: Narkomani Anonimowi, Prostytutki Anonimowe, Hazardziści Anonimowi, Żarłoki Anonimowe, Schizofrenicy Anonimowi.

Dzięki czemu AA są tak skuteczni? Jak działają? Zdaniem Amerykańskiej Asocjacji Zdrowia Publicznego na 'zupełnie nowej zasadzie, według której wyleczony alkoholik może traktować współcierpiącego tak jak nikt inny.'

Na zebraniach lokalnych nie ma żadnych przywódców - przewodniczący zebrania pełnią funkcje na zmianę, 'zaufany sługa' zaś z conajmniej sześciomiesięcznym okresem trzeźwości podejmuje rolę sekretarza. Każdy może zacząć grupę, AA dostarcza jedynie swoich zasad i poparcia. 'Dwóch alkoholików próbujących zachować trzeźwość i czajnik kawy to już grupa AA,' uśmiecha się jedna pani z gorącym kubkiem w dłoni.

Cała struktura organizacji to wyraz zasady 'anonimowości', która, jak ujmuje ją jeden z członków AA to po prostu 'poszukiwanie pokory'. Nikt nie wymienia swego nazwiska. Ostatnia publiczna wypowiedź 'Billa W.', jednego z założycieli, nie pozostawia tu niedomówień: 'Jeśli by mnie zapytano.., co spowodowało nasz rozwój jako wspólnoty, powiedziałbym, że pojęcie anonimowości.., dyscyplina, która daje ochronę nowicjuszowi, szacunek i poparcie świata zewnętrznego.'

Istotą AA jest jednak jego program Dwunastu Kroków, który jest tak prosty, że, jak mawiała jedna alkoholiczka-akademik, 'największy kłopot z jego zrozumieniem mają intelektualiści'.

Pierwszy krok przeciwstawia się niejednemu twierdzeniu współczesnej psychologii behawioralnej. Mówi on tyle co: 'Uznaliśmy, że wobec alkoholu jesteśmy bezsilni - że nie możemy sobie poradzić z życiem.' To wyznanie głębokiej potrzeby jest, zdaniem AA, kluczem do wyzwolenia.

Bardziej jednak kontrowersyjne są Kroki Drugi i Trzeci: przyjęcie, że istnieje 'siła większa niż my sami, która mogłaby przywrócić nas do zdrowia umysłu.' oraz postanowienie 'zwrócenia naszej

łogiem!

koholików

woli i naszego życia w stronę opieki Boga, tak jak go zrozumieliśmy'. Pozostałe kroki wchodzą coraz głębiej w proces duchowy, przy czym sześć z nich wspomina o Bogu lub 'wyższej sile'.

Wielu terapeutów w przemyśle zdrowotnym próbowało uniknąć tego czynnika duchowego, akceptując jednak zasady samopomocy AA, twierdzi członek personelu. 'Dane empiryczne nie wskazują jednak, by w innym środowisku występowała krytyczna masa wyleczonych alkoholików.' Spotkania terapii grupowych bez Boga pozostawiają cię jedynie z 'depresją grupową', powiedział jeden z alkoholików.

Tak więc Amy, która była na 'wódczanej diecie i miała postępującą chorobę w ostatnim stadium', nauczyła się, że 'zamiast chwytać za kieliszek można wziąć do ręki słuchawkę' i zadzwonić do innego członka AA. Pracuje teraz w klinice zdrowia psychicznego w Waszyngtonie, w wolnym czasie uczestnicząc w zebraniach wspólnoty AA codziennie o 7 rano ('To moja rodzina') oraz w przynajmniej trzech spotkaniach wieczornych tygodniowo. 'Sponsoruje' (doradza i okazuje przyjaźń) kilku alkoholiczkom. 'Przekazywanie dalej' to jeden ze sposobów, by pozostać trzeźwym. Śmiejąc się przyznaje, że AA to zamiana jednego uzależnienia na drugie, twierdzi jednak, iż lepsze to niż śmierć. Przytaczając jedno z rozlicznych haseł AA powiada, że chodzi o to, by pozostać trzeźwym 'tylko przez jeden dzień, codziennie'. Amy nie uważa swego oddania za coś niezwykłego: jest to 'służba' płynąca ze wdzięczności za to, co AA jej dali.

Są więc dane empiryczne. Trzeźwa prawda udowodniona życiem miliona wyleczonych alkoholików (i tylu samo z innymi nałogami) polega na tym, że wyzwolenie jest możliwe - dla tych, którzy są wystarczająco zdeterminowani, i uczciwi, by sięgnąć po nie.

Dwanaście kroków alkohoholików anonimowych

1. Uznaliśmy, że wobec alkoholu jesteśmy bezsilni - że nie możemy sobie poradzić z życiem.

2. Doszliśmy do przekonania, że siła większa niż my sami mogłaby przywrócić nas do zdrowia umysłu.

3. Podjęliśmy decyzję, by skierować nasze życia ku opiece Boga, tak jak go zrozumieliśmy.

4. Podjęliśmy poszukiwanie i nieustraszoną analizę moralną nas samych.

5. Wyznaliśmy Bogu, nam samym i drugiemu człowiekowi dokładną naturę naszych przewinień.

6. Staliśmy się całkowicie przygotowani na to, by Bóg usunął wszystkie te wady charakteru.

7. Pokornie prosiliśmy Jego, by usunął wszystkie nasze wady.

8. Sporządziliśmy listę wszystkich osób, którym wyrządziliśmy krzywdę i postanowiliśmy im wszystkim zadośćuczynić.

9. Zadośćuczyniliśmy wszystkim tym ludziom na tyle, na ile było to możliwe, chyba że mogłoby to zranić bądź nich, bądź innych.

10. Kontynuowaliśmy naszą osobistą analizę i gdy nie mieliśmy racji, niezwłocznie to wyznawaliśmy.

11. Poprzez modlitwę i medytację dążyliśmy do poprawienia naszego świadomego kontaktu z Bogiem, tak jak go zrozumieliśmy, modląc się jedynie o to, by objawił nam swoją wolę i dał siłę do jej realizacji.

12. Przeżywszy obudzenie duchowe w wyniku tych kroków, próbowaliśmy nieść nasze przesłanie do alkoholików i praktykować te zasady we wszystkich naszych sprawach.

(Dwanaście Kroków przedrukowujemy za pozwoleniem Alcoholics Anonymous World Services, Inc. 468 Park Avenue South, New York, NY 10016 USA.)

Pielęgniarka z Bejrutu

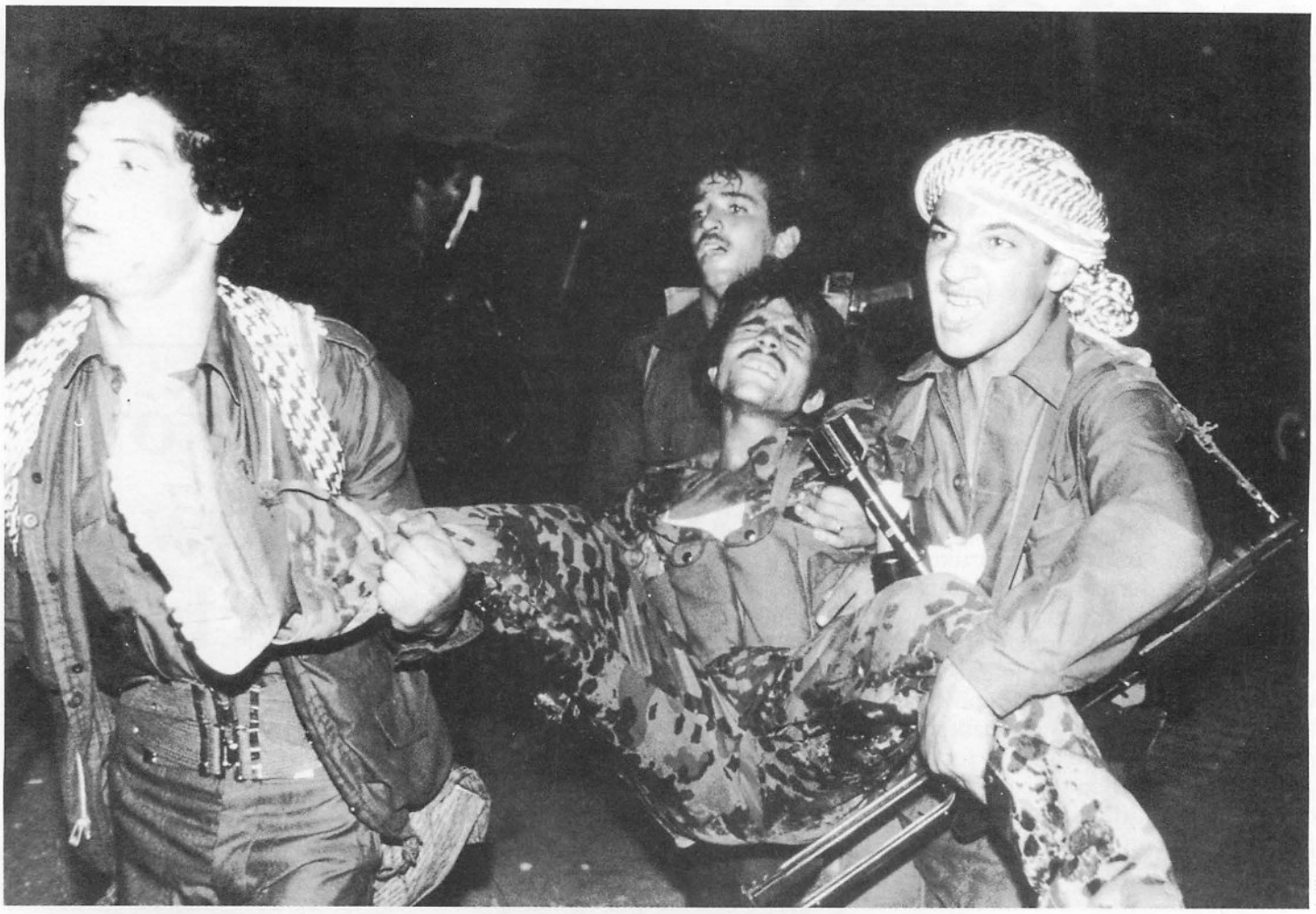

Rex Features

Bejrut, czerwiec 1982, partyzanci niosą rannego towarzysza.

Autorka prosiła o zachowanie anonimowości

Byłam jeszcze nastolatką, gdy w Libanie wybuchła wojna. Zaraz potem umarł nagle mój ojciec na wylew krwi do mózgu, spowodowany częściowo napięciem, pod którym się znalazł. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ludzie muszą cierpieć. Chciałam doszukać się głębszego sensu cierpienia. W pewnym sensie poszukiwanie to jako tako trzymało mnie w kupie.

W latach 1981-1984 uczyłam się pielęgniarstwa na Uniwersytecie Św. Józefa w Bejrucie. W godzinach porannych na uniwersytecie uczyłam się, jak opiekować się ludźmi w czasie pokoju. Po południu oraz w soboty i niedziele pracowałam w szpitalu w pobliżu granicy między Bejrutem Wschodnim a Zachodnim. Wojna rozszalała się na dobre i szpital znajdował się stale pod ostrzałem pocisków.

Za każdym razem, kiedy rozpoczynało się ostrzeliwanie, musieliśmy przenosić wszystkich pacjentów na parter, ustawiając ich łóżka wzdłuż ciemnego korytarza. Ponadto, karetki zwoziły coraz więcej rannych. Niemal wszyscy to młodzi mężczyźni poniżej trzydziestki. Stan ich był nieraz tak poważny, że tracili przytomność podczas podróży. Po przebudzeniu stwierdzali, że musieliśmy im amputować jedną a niekiedy i obie nogi.

Mężczyźni ci przechodzili okres gwałtownego buntu. Wykrzykiwali obraźliwe słowa, nie wiedząc właściwie pod czyim adresem. Nie chcieli słuchać naszych zdawkowych słów pociechy. Nie można się było z nimi porozumieć. W obliczu nieszczęścia musieliśmy wybierać - zamknąć się w kręgu biernej obojętności bądź zakwestionować nas samych i nasze postawy.

Byliśmy pod nawałem pracy, brakowało nam czasu i ludzi. Wiele pielęgniarek nie mogło dostać się do szpitala z powodu bombardowań. Wiedza uniwesytecka mi nie wystarczała. Opatrywanie ciał było najłatwiejszą częścią mojej pracy, ale trudniejsze było leczenie dusz.

My, pielęgniarki i lekarze, próbowaliśmy skryć się za naszą wiedzą i umiejętnościami. Czuliśmy wyższość wobec naszych pacjentów. Czuliśmy się ważni, bo byliśmy zawodowcami i dawaliśmy sobie radę. Ale, jak stwierdziłam, naszych pacjentów raniło to jeszcze bardziej. Ich kryzys sprawił, że stałam się uczciwsza wobec siebie. Zdałam sobie sprawę, że też jestem krucha. Czułam się biedna, bezradna i nieszczęśliwa.

Nauczyłam się więc milczeć w obliczu ich cierpienia: być cichą, pocieszającą obecnością, która nie sądzi. Nauczyłam się słuchać krzyku i obelg bez reagowania; pozwalać pacjentom, by wyrażali to, co czują. Próbowałam postawić się na ich miejscu, dzielić ich cierpienie, przypomnieć sobie, jak ja sama się czułam, gdy umarł mój ojciec. Powiedziałam sobie: 'Jestem uczniem a pacjent nauczycielem.'

W tych latach nie mogłam sobie pozwolić na luksus myślenia o własnych problemach, wiedziałam jednak, że kiedyś będę musiała stawić im czoła. Od kiedy jednak zaczęłam pracować jako pielęgniarka oddziału dziecięcego i przy stole operacyjnym, miałam więcej czasu na przemyślenia. Zaczęłam rozumieć, że prawdziwe zagrożenie ludzkości nie płynie z zewnątrz, lecz od wewnątrz. Walczymy z powodu dawnych niesprawiedliwości i broniąc sprawiedliwości sami stajemy się niesprawiedliwi. Proces ten mógłby trwać wiecznie, chyba że uda się komuś go przezwyciężyć.

Po bolesnej walce wewnętrznej zdałam sobie sprawę, że tylko wówczas mogę stać się wolna, kiedy nauczę się przebaczać zarówno tym, którzy zranili mój kraj i naród, jak i tym, którzy zranili mnie osobiście. To tak jakbym pozwoliła, by część mnie samej umarła.

Ponieważ owe lata przeżyłam w szpitalu z ludźmi, którym amputowano kończyny, miałam wrażenie, że mogę zrobić wszystko. Teraz z niepokojem odkryłam, że nie potrafię przebaczyć - chyba że Bóg mi pomoże. Ku Bogu zwrócił mnie zatem nie strach, nie pragnienie bezpieczeństwa, lecz wolności wewnętrznej. Odkryłam, iż Bóg mnie kocha. I że potrafi przebaczyć innym - i mnie samej.

Nazywam się John. Jestem alkoholikiem

'Fortuna do mnie się uśmiechnęła, gdy zdobyłem złoty medal na olimpiadzie w Rzymie jako wioślarz. Ale glorię tę skontrastowałbym z serią depresji alkoholowych uwieńczonych tragicznym dniem w maju 1985 roku.

Po ukończeniu szkoły przez dziesięć lat nie piłem. Wino i piwo zacząłem pić w latach siedemdziesiątych. Potem przerzuciłem się na dobry bourbon whiskey, przy czym z latami wzrastało moje spożycie. W latach osiemdziesiątych moja rodzina była już pewna, że moje picie to problem poważny. Nie wpływało ono na moją pracę (tak mi się przynajmniej wydawało; oszukiwałem się, mówiąc że piję tylko w nocy, po pracy, w dni wolne). Moja osobowość zaczęła zmieniać się pod wpływem alkoholu, stałem się jednostką krytyczną, nadużywałem obelg, zwłaszcza w stosunku do żony i dzieci.

Do wybuchu doszło, kiedy nie wyszło mi jedno przedsięwzięcie finansowe w latach osiemdziesiątych, w wyniku czego straciliśmy kilkaset dolarów. Zacząłem pić bardzo intensywnie, co wieczór, i stałem się, według określenia mojego syna, "złym, okrutnym skurwielem, którego nikt nie może tolerować".

Pewnego pięknego dnia w maju 1985, gdy wychyliłem prawie całą butelkę skocza, moja żona zrobiła mi awanturę prawdopodobnie po raz kilkusetny w ciągu ostatnich lat. Wpadłem w szał i zacząłem rzucać w nią talerzami. Interweniował mój dwudziestopięcioletni syn, próbując mnie powstrzymać. Zaatakowałem go pięściami, grożąc, że go zabiję. Jest na szczęście tej samej budowy co ja i na dodatek dwadzieścia pięć lat młodszy, więc moja walka pijanego nie była specjalnie skuteczna. Żona chwyciła za telefon i dzwoniąc do przyjaciela, trafiła prze pomyłkę na biuro numerów. Telefonistka usłyszała walkę i zawiadomiła policję.

Zanim przyjechali, ja zdołałem się uspokoić i ładowałem rzeczy do samochodu, chcąc opuścić dom (pojęcia nie miałem, dokąd jadę). Nie wiedziałem, że w stanie Waszyngton istnieje prawo dotyczące przemocy w domu, które nakazuje, by przynajmniej jeden z uczestników szarpaniny domowej znalazł się w więzieniu. Wybór padł oczywiście na mnie i wkrótce znalazłem się w kajdankach na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego.

Wkrótce byłem już w celi z trzydziestoma lub czterdziestoma innymi. Cela miała cementową podłogę, dwie drewniane prycze i brudną toaletę w rogu. Współwięźniowie byli złodziejami samochodów, handlarzami narkotyków i niekiedy alkoholikami. Daleką odbyłem podróż z podium w Rzymie.

Byłem na siebie wściekły, dręczyłem się wyrzutami i czułem się upokorzony jak nigdy dotąd. Miałem pretensję do rodziny. Obwiniałem ich o swoje położenie, uważałem że zareagowali zbyt gwałtownie. Było to myślenie typowe dla pijanego - racjonalizacja i minimalizacja własnego działania i oskarżanie innych ludzi lub okoliczności. Pijany najmniej chyba widzi siebie samego w obiektywnym świetle.

Uwolniono mnie nazajutrz, gdy złożyłem odpowiednie przyrzeczenie, władze zaś nabrały przekonania, że swojej rodzinie nie uczynię nic złego. Wziąłem do domu taksówkę. Nie wiedziałem, czego oczekiwać, byłem jednak w pełni świadom, że to co się stało, to nie jest po prostu jeszcze jeden "incydent", o którym zaraz zapomnimy.

Moja żona przywitała mnie chłodno, mówiąc "Znalazłam jeden ośrodek terapii, w którym mogliby cię dzisiaj przyjąć. Poszedłbyś? Mój umysł nie był w tym momencie dostatecznie klarowny, bym mógł zdawać sobie sprawę, że stanąłem przed rozstrzygającym wyborem: albo pójdę na leczenie albo utracę moją rodzinę na zawsze.

Dwie godziny później zjawiłem się w ośrodku terapii celem odbycia 28-dniowego programu. Połowa 120 uczestników to byli alkoholicy, reszta nałogowi kokainiści i heroiniści. Pochodzili ze wszystkich warstw - milionerzy-przemysłowcy, gospodynie domowe, muzycy, strażacy, policjanci, licealiści, prawnicy, dokerzy i nauczyciele.

Program był bardzo intensywny i szczegółowo dowiadywaliśmy się o różnych aspektach alkoholu i innych narkotyków, oraz o potwornej cenie, którą się za nie płaci. Podstawową filozofią terapii było Dwanaście Kroków Alkoholików Anonimowych: wyznajesz, że jesteś alkoholikiem i że nie masz siły się zmienić, ale że możesz skierować swoje życie ku Bogu, tak jak go zrozumiałeś. Oznacza to równiesz podjęcie pozbawionej strachu i uczciwej analizy moralnej swego życia, naprawienie uczynionego zła, gdziekolwiek się da, przeżywanie codziennie jednego dnia i poszukiwanie wskazówek w "głosie wewnętrznym".

Gdy do tego przystąpiłem zacząłem dostrzegać ogrom zniszczenia, które moje pijaństwo przyniosło nie tylko mnie, ale i mojej rodzinie oraz przyjaciołom. Było to duchowe obudzenie, możliwe dopiero po tym, jak moje ego zostało obnażone przez absolutnie uczciwe spojrzenie na mój niedawny styl życia.

Ten prosty program pozwala nie tylko poradzić sobie z alkoholem, daje człowiekowi metodę, która może go poprowadzić przez resztę życia.

Gdy zacząłem stawać się uczciwy wobec siebie i swojej rodziny, zaczęły dziać się rzeczy zupełnie niesamowite. Moja najstarsza córka opuściła dom w wieku lat 15 i na kilka lat pogrążyła się w narkotykach i alkoholu. Wraz ze swoim chłopcem odwiedziła mnie w szpitalu. Moja przemiana w takim stopniu na nią wpłynęła, że uczciwie na siebie spojrzała i zdała sobie sprawę, w jak głębokich tarapatach się znalazła. Jedna z największych chwil w moim życiu miała miejsce w parę dni po ukończeniu przeze mnie terapii: moja córka przyszła do mnie wraz ze swoim chłopcem. Zmieniło to życie każdego z nas i po kilku miesiącach moja córka wyszła za mąż (za innego jednak mężczyznę).

Cztery lata po tych wydarzeniach to okres coraz bogatszy w doświadczenia. Nie wszystko było jednak usłane różami, bo reszta rodziny musiała sobie poradzić z gorzkimi uczuciami, jakie wobec mnie żywiła. Ja też zdałem sobie sprawę, że nadal mam problemy, choć już nie piłem. Ale proces leczenia był cudowną sprawą. Moja rodzina trzyma się razem jak nigdy dotąd. Zrobiłem nową karierę jako szef niedochodowej organizacji, która odnawia dzikie legowiska łososia na północnym zachodzie. Sukces ten był w istocie możliwy dzięki współpracy kilkudziesięciu wyleczonych pijaków - drwali, zawodowych rybaków, Indian i dokerów, z których wielu jest Alkoholikami Anonimowymi.

Postanowiłem zachować codzienny rytuał cichych chwil, kiedy to słucham głosu Boga, a następnie działam zgodnie z usłyszanymi myślami. Brzmi to prosto, ale w praktyce nie jest łatwe. Stare negatywne myśli i niechęci całymi ławicami płyną mi przez głowę, jeśli dostarczę im okazji. Nie mogę ich dopuszczać na długo. Dla mnie jest to sprawa życia i śmierci. Jeśli pozwolę powrócić dawnym nawykom myślenia, to prędzej czy później mogę znów być na buzie i stać się taki jak tej okropnej nocy w więzieniu.

Alkoholicy Anonimowi to potężna siła funkcjonująca w dzisiejszym świecie, która może stać się jednym z wielkich ruchów duchowych naszych czasów. Dali nowe życie i cel setkom tysięcy. Ja im zawdzięczam moje życie, rodzinę i zdrowie umysłu.'

Głasnost' po szwedzku

O idei głasnosti wiele mowi się na Zachodzie. W szwedzkim mieście Gtteborgu myśl o większej otwartości stała się inspiracją dla Ture Nelsona, inspektora jakości Volvo, znanego producenta samochodów.

"Czy w naszym przedsiębiorstwie jesteśmy naprawdę tak otwarci jak sądzimy?" spytał. Korporacji Samochodowej Volvo zależało, rzecz jasna, na dobrej opinii, mówi Nelson. Toteż informację na temat jakości ściśle reglamentowano, by uniemożliwić przecieki do prasy. Informacje na temat dobrej jakości docierały do kierownictwa niezwłocznie, natomiast wiadomości dotyczące problemów zdawały 'się podróżować wolniej.

"Zadaliśmy sobie pytanie: "Czy członkowie naszej organizacji wiedzą naprawdę, co klienci sądzą na temat naszych samochodów? Czy wiedzą o problemach klientów z samochodami?" Odpowiedź brzmiała "Nie". Był to początek zmiany."

Nelson i jego koledzy zaczęli redagować biuletyn zakładowy Volvo pt. "Quality Facts" (Fakty dotyczące jakości). Wysyłany początkowo do 100 kierowników, w tym członków dyrekcji, spotkał się z dobrym przyjęciem i zaspokoił odczuwaną od dawna potrzebę uczciwości. Teraz ma nakład ponad 1000 egzemplarzy.

Gazeta opisuje przede wszystkim doświadczenia klientów, zarówno dobre jak i złe. Przedstawia też konkretne plany poprawy jakości. Każdy dyrektor naczelny podjął się osobiście rozwiązania jednego złożonego problemu przedsiębiorstwa i gazeta obserwuje dokładnie, jak dają sobie radę. I wreszcie gazeta publikuje wyniki różnych fabryk i oddziałów z uwagami odpowiedzialnych za nie kierowników. Publikuje się też założenia własne korporacji Volvo dotyczące jakości.

Nelson uważa, że wynikająca stąd otwartość dała personelowi nową okazję uczestnictwa w ulepszaniu towarów i strategii przedsiębiorstwa. Na najniższym poziomie, powiada Nelson, jest to szansa "produkcji lepszego samochodu i osiągania dobrego samopoczucia".

D Channer

Khun Moo

Jacy ludzi

Mary Lean.

'Nikt tu się nie pojawia prócz wojska; jest zbyt niebezpiecznie,' powiedział kierowca swojej pasażerce, drobnej lecz rezolutnej studentce rolnictwa. Rejon ten, w górach północnej Tajlandii, zniszczyła i wyludniła wojna partyzancka. Pozostali tam ludzie żyli w ziemiankach w przerażających warunkach.

Gdy Rosukon Poompanvong - znana wszystkim jako 'Khun Moo' - ukończyła studia, przekonała wojskowych, by wysłali ją z powrotem do Khao Kor celem zorganizowania tam ośrodka rozwoju wsi. 'Uczyłam się od chłopów, pracując z nimi i słuchając, co mówili,' opowiada. Osiem lat później ośrodek wspiera 9000 ludzi i codziennie wysyła na rynek w Bangkoku dziesięć ton warzyw. Wieśniacy to osadnicy, zbieranina z różnych części kraju. Z pomocą Khun Moo i jej współpracowników przekształcili się w społeczność i zmienili zniszczone erozją wzgórza w żyzne działki układające się tarasami. Program odniósł tak duże powodzenie, że Khun Moo proszono o założenie takich ośrodków w innych częściach kraju.

Nasiona

Pomimo ponurej statystyki, świat pełen jest takich udanych przedsięwzięć na poziomie małych społeczności, często zainspirowanych przez jedną oddaną sprawie osobę. Może to być młody rezerwista, który wraca do swojej wsi, by przywróciwszy jej wiarę w siebie w ciągu dwunastu lat przekształcić ją z miejsca na skraju wyludnienia w kwitnącą społeczność. Albo związkowiec, który młodych bezrobotnych swojego regionu zachęca do założenia szkoły wieczorowej dla miejscowych dzieci i nie zapomina też o problemach zdrowia i higieny osobistej. Albo znany pisarz, którego sierociniec - oaza na wsi poza miejskim chaosem Kalkuty - daje porzuconym dzieciom dom i uczy rzemiosł wiejskich. Albo biznesmen z Poony, który, przerażony skutkami suszy na wsi, rozkręca sieć spółdzielni dla ubogich rolników, co oznacza, iż mogą oni nawadniać swoje pola. Wymieniam te przykłady, z którymi się zetknęłam w trakcie krótkiej wizyty w Indii trzy lata temu - cztery spośród setek, których nie widziałam.

W niedawno wydanej książce The Greening of Africa (Paladin, 1987), Paul Harrison przytacza program za programem na potwierdzenie swego przekonania, że wbrew obecnym siewcom apokalipsy, 'Afryka może zaskoczyć świat'. Opisuje on posunięcia tkwiące u podstaw poniepodległościowego 'cudu kukurydzianego' w Zimbabwe, który podniósł udział czarnych chłopów w rynku krajowym z 7% przed niepodległością do 48% w 1985 i doprowadził do największego w historii zbioru kukurydzy (1985), a nawet umożliwił udzielenie pomocy Etiopii. Opowiada jak Burkina Faso - jeden z najbiedniejszych krajów świata - w 1985 roku ocalił życie między 18000 a 50000 dzieci przez akcję dwumiesięcznego intensywnego szczepienia prowadzonego przez 7500 osobowy wiejski personel medyczny i położne. Opisuje jak chłopi z całego kontynentu wygrywają walkę z erozją porostymi technikami konserwacji gleby i wody.

Sukcesy te, powiada Harrison, 'toną jednak wśród przeważających liczebnie porażek'. Dodaje jednak, że udane przedsięwzięcia są jak nasiona. 'Jeśli je zasiać dostatecznie szeroko, zajmą całe pole.' Wśród składników sukcesu znajdziemy kompetentne kierownictwo i nacisk na współudział miejscowej ludności od planowania do wykonania.

Siedmiu na dziesięciu Afrykańczyków żyje na wsi. Harrison uważa, że kluczem do uzdrowienia gospodarki jest drobny rolnik oraz że, zważywszy gleby i klimat

e czynią dobrze?

Afryki, jej zielona rewolucja musi być oparta na podstawach organicznych. 'Afryka musi się przepchnąć,' konkluduje. 'Rolnicy afrykańscy mają wszystkie wymagane umiejętności, zdolność przystosowania i energię.' Czy będą mieli szansę z nich skorzystać, zależy od reform na skalę zarówno narodową jak i międzynarodową.

Ten sam nacisk na jednostki dominuje w drugiej książce opublikowanej równocześnie z raportem Brundtland Only One Earth Lorda Timberlake (BBC/Earthscan 1987). Autor opisuje wysiłki w obrębie małych społeczności dążące do rozwiązania problemów środowiskowych, począwszy od niszczenia lasów w Sri Lance do ekspansji pustyni w Kenii, od zanieczyszczenia chemicznego Kalifornii do problemów mieszkaniowych Peru. Przykłady jego dowodzą, że inicjatywy oddolne dostosowane do potrzeb lokalnych są bardziej skuteczne niż importowane z zewnątrz - i że gdy jednostki próbują coś zrobić, można osiągnąć jakąś zmianę.

Inicjatywy takie to często ryzyko - poświęcenie zysków krótkoterminowych dla przyszłości. Niezbędna do tego odwaga może się brać - doświadczyli tego ludzie inspirowani przez Dozbrojenie Moralne - z przemiany postaw motywowanych wiarą religijną. Khun Moo, która na obszarze, gdzie teraz pracuje, widziała jak giną jej przyjaciele, mówi, że wiara w Boga odbiera jej strach.

Owcza ferma Roly Kingwilla znajduje się w półpustynnym regionie Karoo w RPA. Jego ziemia uległa poważnej erozji spowodowanej nadmiernym wypasem. Do jej rehabilitacji przystąpił, gdy postanowił poważniej potraktować swoją wiarę chrześcijańską. Doprowadziła go ona do porzucenia autorytarnego podejścia do robotników i przyjęcia radykalnych metod konserwacji gleby.

'Zaczęła się we mnie rodzić nowa "etyka ziemii" - gleba należy do Boga i przyszłych pokoleń,' mówi Kingwill. 'Ja ją wyzyskiwałem dla własnych celów.' Zdecydował się zmniejszyć swoje stado o jedną trzecią i wprowadzić system wypasu rotacyjnego. Dziś jest to praktyka powszechnie zalecana; wówczas jednak, jakieś 50 lat temu, wymagała odwagi. 'Oznaczało to, że trzeba było poświęcić część dochodu w czasie, gdy na naszej ziemii ciążył poważny dług.' opowiada. Na początku było trudno. Po kilku jednak latach Kingwill zaczął dostrzegać wyniki. 'Trawa zaczęła wyrastać tam, gdzie nie widziałem jej przedtem. Owce zaczęły dawać więcej wełny i zwiększył się procent jagniąt. Bydło stało się bardziej tłuste tam, gdzie przed dziesięciu laty brakowało pożywienia.'

Klimat zmiany

W ostatecznym rozrachunku rządy i przemysł robią to, czego chcą konsumenci. W Wielkiej Brytanii - w czasie, gdy rolnicy podlegają presji - popyt na 'bezpieczną' żywność stworzył rynek producenta dla wytwórców żywności organicznej. Sklepy zdemujące z półek aerozole w obawie o warstwę ozonu, kierowcy przerzucający się na paliwo bezołowiowe, mieszkańcy domów włączający śmiecie do ponownego obiegu, wszystko to pomaga tworzyć odpowiedni klimat do zmian.

Ludzie zdecydowani wyjść ze swoimi przekonaniami na forum publiczne mogą wpłynąć na zmianę polityki. Robin Prickett, farmer owiec z Nowej Zelandii, dowiedział się, że farmerzy z Wyspy Południowej mają wprowadzić hodowlę buraka cukrowego. 'Pomyślałem, iż zrujnuje to gospodarkę Fidżi, skoro cukier jest jedynym eksportem tej wyspy,' opowiada. Wraz z innymi farmerami przeciwstawił się potężnemu lobby buraczanemu, przekonując rząd, że Nowa Zelandia powinna dalej importować cukier a nie produkować go sama. Dwadzieścia lat później obowiązuje nadal ta sama polityka.

W gruncie rzeczy, rozsądny rozwój kraju - zarówno na Północy jak i na Południu - sprowadza się do poszczególnych wartości. 'Wielu z nas żyje ponad ekologiczne możliwości świata, na przykład jeśli chodzi o zużycie energii,' mówi raport Bruntland. 'Ujawniające się potrzeby są zdeterminowane społecznie i kulturowo.' E.F.Schumacher, jeden z proroków rozsądnego rozwoju, ujmuje to bardziej dobitnie: 'W jaki sposób mamy w ogóle przystąpić do rozbrajania żądzy i zazdrości? Może będąc sami mniej zazdrośni i pożądliwi.'

Khun Moo też ma te problemy na uwadze, gdy myśli, jak zapobiec korupcji i rywalizacji, zagrażającym nowemu dobrobytowi Khao Kor. 'Rozwój techniczny nie jest rzeczą trudną,' mówi. 'Rozwój moralny jest trudny - i równie ważny.'

Panos Pictures

Współudział kluczem do sukcesu: kopanie studni w ogrodzie szkolnym w Burkina Faso.

Przez Himalaje nienawiści

Charis Waddy

Kilka miesięcy temu wróciłam z Pakistanu - kraju nadziei przeżywającego chwile obietnicy. Dużo nauczyłam się od przyjaciół, którzy muszą podejmować doniosłe decyzje w perspektywie zaskakujących zmian.

Spotykałam mężczyzn i kobiety z piekącymi ranami ciała i ducha zadanymi przez wiele reżimów: ofiary strasznych krzywd przypisywanych rządom brytyjskiego radży, ciężkich kosztów podziału Indii i właściwie każdych rządów w Pakistanie aż po generała Zię.

Nie sposób porównywać tych ran ani pomniejszyć ich znaczenia. Każdy odczuwa swoje cierpienie jako coś bardzo rzeczywistego. Uświadomiłam sobie, jak głębokie podziały przebiegają przez ten wielki i zdolny naród. Uderzyło mnie to, że każdy tak samo patrzy na tych, których obwinia za swoje cierpienie.

Niektórzy postanowili złagodzić te podziały, wyrzekając się jakiejkolwiek formy odwetu. Jest to krok o olbrzymim znaczeniu. Ale między pierwszym zaledwie krokiem a godną Hillary'ego zdolnością pokonywania Himalajów nienawiści i goryczy górujących nad światem, trzeba się wiele nauczyć i wypróbować w praktyce. Musimy się nauczyć czytać serca otaczających nas mężczyzn i kobiet ze współczuciem i jasnością ; musimy posłużyć się tym, co poeta nazwał inteligencją serca.

Słuchałam wielu dyskusji. Wielu ludzi o zdolnych umysłach ma też drażliwe serca. Odkryłam też przeciwwagę, wypadki uzdrowienia: kobiety znajdujące pocieszenie po utracie dzieci, umacniające się w obowiązkach wdowieństwa, wspierane w obliczu prześladowań ; ludzie, którzy przekształcili otrzymane obelgi w środki prowadzące do przemiany wewnętrznej obrażającego. Większość tego wszystkiego nie ma nic wspólnego z polityką, wiele natomiast z dobitnym ustępem Koranu, który nakazuje na zło odpowiadać dobrem. Jest on podręcznikowym studium przekształcania wrogów w przyjaciół:

'Dobro i zło nie są jednakie! Odrzuć zły uczynek przy pomocy lepszego; wtenczas, na Allacha, ten, który był twoim wrogiem, będzie jak twój najlepszy przyjaciel.'

Nieprzetarte drogi

Dokonuje się wielkie przejście.

Zaczynamy odróżniać wroga od wrogości. Wrogość wraz ze wszystkim, co przylgnęło do niej z dumy, nienawiści i antypatii, da się rozpoznać jako coś obecnego po wszystkich stronach konfliktu - po trosze w moim sercu a po trosze w sercach tych, którzy widzą siebie jako moich przeciwników. Uznanie ich powodu do urazy, tak jak mojego, to duży krok naprzód.

Przejście prowadzi od zbyt łatwych kategorii przyjaciół i wrogów, daremnego obwiniania się, do przyjrzenia się temu, co jest naprawdę złe: truciźnie chciwości, goryczy, strachu, samolubstwa, gdziekolwiek się one pojawiają. Umożliwia to przywódcy zajęcie się tymi przejawami zła i ich owocami tak drastycznie zakorzenionymi u przyjaciół i wrogów, z równą dozą realizmu i szacunku. Zawsze znajdą się ludzie głodni władzy, którzy będą chcieli po swojemu wykorzystać przyczyny podziałów. Prawdziwy polityk dąży do ich uleczenia.

Zawsze istnieć będą różnice, jednakże ci, którzy wzajemnie się szanują, mogą odrzucać czyjeś poglądy w sposób nie budzący niezgody. Każda sprawa, każda osoba jest inna i wymaga podejścia i działania z wyobraźnią. Ci zaś, którzy zaczynają iść tą drogą, pomogą innym. Ich głos pomiędzy narodami może poprowadzić ludzkość nieprzetartą drogą pokoju. Bo narody, tak jak i jednostki, potrzebują zarówno szacunku jak i wzajemnego wyzwania, oczekiwania tego, co najlepsze, i dawania tego, co najlepsze, zachęty raczej niż popychania, by wspólnie podążać prostą ścieżką.

Charis Waddy jest autorką książek 'The Muslim Mind' oraz 'Women in Muslim History'.

Foto: David Channer